Nr. 3

ŚRODY LITERACKIE

STYCZEŃ 1936.

ŚRODY LITERACKIE

KWARTALNIK

POD REDAKCJĄ TADEUSZA ŁOPALEWSKIEGO

NAKŁADEM RADY WILEŃSKICH ZRZESZEŃ ARTYSTYCZNYCH
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WILNO, OSTROBRAMSKA 9
ZWIĄZEK ZAWODOWY LITERATÓW POLSKICH

TREŚĆ NUMERU:

CENA NINIEJSZEGO ZESZYTU 1 ZŁOTY.

ŚRODY LITERACKIE
KWARTALNIK
STYCZEŃ Nr. 3 1936

MOŻLIWOŚCI URBANISTYCZNE WILNA.

Myśl śmielsza napotyka zawsze surową odprawę zastępów urodzonych sceptyków. Zdawkowa formuła „ciężkie czasy“ staje się pospolitym refrenem pogrzebowym dla najlepszych nawet pomysłów, na pierwszy objaw odważnej ich ambicji wcielenia się w życie. Naprzekór tym sceptykom roztoczyć chcę przed czytelnikami pomysły i możliwości o skali, ogarniającej zasadniczy problem rozwoju urbanistycznego naszego miasta. Rozważania te wypada zatytułować „marzeniami“, blade, bowiem, jeszcze znaki „na niebie i na ziemi“ zapowiadają rozpoczęcie u nas planowej pracy urbanistycznej.

Niezawodnie rośnie u nas przywiązanie do rodzinnego miasta: upowszechnia się znajomość jego dziejów i zabytków. Brak nam, natomiast, ambicji tworzenia nowych walorów współrzędnych z walorami Wilna historycznego.

Szkaradne, zacofane budownictwo prywatne nie da się rychło naprawić: budownictwo prywatne — to obraz kultury budujących się, a kultura nie łatwo i nie szybko się dźwiga z zaniedbania. Inaczej rzecz się przedstawia na odcinku problemów urbanistycznych; rozwiązywanie ich należy ustawowo do czynników samorządowych. Ażeby nie było wstydu przed dostojną przeszłością Wilna i aby nie zostało zmarnowane hojne wyposażenie Wilna przez naturę, żądać musimy na tym odcinku pracy samorządowej dłoni świadomej, mocnej, kulturalnej i ambitnej. Prowincjonalny dyletantyzm nie może tu być cierpiany.

Paradoksem naszych ubogich czasów jest ucieczka od sił fachowych i od planowości. A cóż, jak nie planowość, jest najskuteczniejszym środkiem zapewniającym celowe zużycie skromnych naszych zasobów. Pod znakiem planowości wyprostowywać się powoli zaczyna nasze życie gospodarcze. Przez zogniskowanie mniejszych nawet środków na jednym celu osiągniemy większy efekt, niż przy środkach większych rozprószonych tu i tam, wszędzie potrochu i bez planu.

Niedawno Warszawa z inicjatywy ówczesnego swego prezydenta M. Zyndram - Kościałkowskiego, czyniąc „rachunek sumienia“ ze swej

akcji budowlanej w latach powojennych, doszła do wniosku, że winwestowała ogromne sumy na rozbudowę chaotyczną, kierowaną partykularnym interesem budujących się i wypadkową gmatwaniny sił i wpływów rywalizujących ze sobą, nieskoordynowanych czynników. Najwybitniejsi fachowcy orzekli, że przy tej sumie wydatków i przy równym efekcie utylitarnym, zużyte środki, przy planowem dysponowaniu, zmieniłyby znacznie oblicze Warszawy, dałyby stolicy monumentalne założenia urbanistyczne, godne stolicy wielkiego Państwa.

Zrozumienie konieczności podporządkowania rozdziału funduszów budowlanych interesom miasta, jako całości staje się dziś tezą zwycięską. Z głosów prasy, z zarysowujących się kierunków polityki kredytowej Banku Gospodarstwa Krajowego stawiać już można horoskopy zwycięstwa tej słusznej zasady. Ale my w Wilnie nie mamy żadnego skrystalizowanego planu celowego dla miasta, jako całości urbanistycznej, zużycia publicznych funduszów budowlanych. Kredyty budowlane rozpełzają się w setkach drobnych kwot na bezkresach wielkiego Wilna. Z takim trudem zgromadzone zasoby idą na budowę domków źle zaprojektowanych i jeszcze gorzej wykonanych, wznoszonych często na terenach, które i za 100 lat w skład właściwego miasta nie wejdą.

„Wielkie Wilno“ kładzie swe blaski i cienie na losy miasta. Stoimy na drugiem, po stolicy, miejscu pod względem obszaru administracyjnego, jesteśmy prawie dwukrotnie więksi terytorjalnie od Łodzi, $2^1/_2$ krotnie od Krakowa, a Warszawie bardzo mało ustępujemy. Ale też mamy ogromny balast obszaru niezagospodarowanego, niedojrzałego gospodarczo i kulturalnie do struktury miejskiej. Mamy największe przestrzenie do pokonania w urządzeniu ulic, w projekcie zabudowy, w pracach inwestycyjnych i administracyjnych. Te biedne tereny więcej pochłaniają świadczeń ze strony miasta, niż dają dochodu. Słowem: „Wielkie Wilno“ zjada Wilno właściwe. Sytuacja jest tem trudniejsza, że budżet nasz jest najboższy już nie tylko w stosunku do terytorjum miasta, ale i w stosunku do jego zaludnienia. Jesteśmy podobni do gospodarza, uprawiającego tysiące ha jedną parą koni.

Jeśli więc „rozbudowa“ krańców miast z uszczerbkiem dla śródmieścia i z kiepskim naogół rezultatem była pospolitym grzechem „polityki budowlanej“, a raczej jej braku w pierwszych latach odrodzenia samorządu, to w Wilnie pokusa i możliwości w tym kierunku były większe, niż gdzieindziej. Czas dziś, za przykładem Warszawy, obrócić uwagę na to, co jest istotnem Wilnem, a rozporządzalne środki obrócić na skorygowanie zasadniczych kierunków rozwoju właściwego miasta.

Warszawa przystępuje do realizacji dwóch wielkich założeń urbanistycznych w śródmieściu. Jeden z projektów jest urbanistycznym symbolem czci dla Wodza Narodu, drugi realizuje poprzeczną do Krakowskiego Przedmieścia oś monumentalnej kompozycji urbanistycznej przechodzącej przez Plac Marszałka Piłsudskiego. Będą to pomnikowe dzieła urbanistyczne, wyraz epoki zmartwychwstania Państwa i Stolicy.

Tę wolę upostaciowania wyrazu Wilna wyzwolonego i nam przystoi posiadać. Szukać jej realizacji winniśmy w granicach naszych skromnych możliwości.

Wiek XIX dał Wilnu nową arterję główną młodszego miasta—dzisiejszą ulicę Mickiewicza. Powstała ona z pomysłu rosyjskich geometrów wojskowych, którym w latach pięćdziesiątych ub. wieku polecono wytyczenie szematu dla rozrastającego się miasta. Wytyczenie tej szerokiej arterji przez teren dogodny i mało zabudowany pobudziło szybki rozwój nowej dzielnicy, dla której wytyczona arterja stała się niby stosem pacierzowym. Ulica Mickiewicza nie pokrywała się z żadną drogą główną i z żadnym szlakiem dojazdowym. Z dzielnicą Łukiską epiej wiązał śródmieście prastary szlak, idący od centrum handlowego miasta — Ratusza ul. Wileńską, Gdańską i Styczniową. Mimo swych ograniczonych funkcyj komunikacyjnych i wadliwego względem stron świata kierunku (jednostronne nasłonecznienie domów) dała ulica Mickiewicza przykład zdumiewająco skutecznego oddziaływania założenia nowej ulicy w dogodnym miejscu i terenie na pobudzenie imponującego ruchu budowlanego, stwarzającego w ciągu półwiecza rozległą, rywalizującą ze starem śródmieściem, dzielnicę.

Przestudjowanie planu Wilna doprowadza do wniosku, że podobne możliwości stworzenia nowej dzielnicy w bezpośredniej łączności z historycznem Wilnem istnieją i dzisiaj. Najbliższym takim terenem zachowującym rolę dotąd prawie bierną w rozwoju miasta jest teren Snipiszek. Bierność ta ma swe źródło w odcięciu Snipiszek od miasta przez Cytadelę Mikołajewską. To też w okresie wzmożonej urbanizacji, w drugiej połowie wieku XIX, dzielnica ta zabudowuje się prawie wyłącznie wzdłuż głównych dróg dojazdowych, idących po zewnętrznym obwodzie tych terenów (ul. Kalwaryjska i Wiłkomierska). Główna połać Snipiszek, rozpościerająca się na wprost Katedry, położona tuż naprzeciw samego śródmieścia, do dziś dnia, pozostała prawie niezabudowana. Dzielnica ta oglądana z Góry Zamkowej i kontrastująca swą pustką wobec piętrzącego się dookoła zabudowania od południa i zachodu, nasuwała mi zawsze myśl wyzyskania tej okoliczności dla pięknego rozwoju nowej śródmiejskiej dzielnicy. Z wielką radością zna-

lazłem potwierdzenie słuszności tych pomysłów w odszukanym planie zabudowania miasta z roku 1817. Ciekawy ten dokument spoczywał w archiwum pomiarowem miasta.

Plan ten stanowi unikat jako jedyne w ciągu dziejów miasta zamierzenie urbanistyczne, obejmujące całość zagadnienia rozwoju miasta na odpowiednim poziomie ówczesnych pojęć artystycznych i utylitarnych. Podpisany pod planem architekt Guesti nie jest nam znany z działalności na terenie Wilna. Nazwisko jego i krótką wiadomość o jego pracach odszukałem w książce rosyjskiej „Историческая Выставка Архитектуры“ (Petersburg 1911). Był on autorem szeregu prac architektonicznych i inżynierskich w Petersburgu i Carskiem Siole. Drugi architekt, podpisany pod planem Poussier — wychowanek szkół paryskich, był długie lata architektem gubernjalnym w Wilnie. Plan nosi aprobatę odręczną cesarza Aleksandra I.

Praca ta przewiduje rozrost miasta głównie w kierunkach południowym, zachodnim, północnym (Snipiszki). Potrzeby ściśle mieszkaniowe, handlowe i wogóle utylitarne znalazły swe rozwiązanie w zaprojektowanych nowych dzielnicach na południu i zachodzie starego miasta; dzielnica reprezentacyjna, o pompatycznem założeniu monumentalnem, zaprojektowana została na północnym terenie Snipiszek. Tu właśnie autorzy planu widzieli rozwój miasta monumentalnego, dzielnicę główną, to co dziś nazwalibyśmy — City. Trafność wyboru tej a nie innej dzielnicy dla celów reprezentacyjnych, uzasadniona przed wiekiem walorami przyrodzonemi terenu i jego bliskością do starego śródmieścia, dziś staje się jeszcze bardziej aktualna wobec zaprzepaszczenia tych możliwości w innych pobliskich dzielnicach. Dzielnicę południową oddziela dziś tor kolejowy, utrudniający dogodne jej powiązanie z resztą miasta, a warunki topograficzne i pejzażowe przedstawiają się tutaj znacznie gorzej. Główna część tej dzielnicy wiąże się z miastem przez wąskie wyloty ulic Piwnej, Ostrobramskiej i Zawalnej. Połacie południowo-wschodnie miasta, leżące w pobliżu torów kolei i dolnego biegu Wilji przez swe położenie kwalifikują się bezsprzecznie na dzielnicę przemysłową. Nowe Miasto, Pohulanki i dzielnica Łukiska mają już wygląd przesądzony i niedający się zmienić.

Zamierzenia Guestiego i Poussiera nie doczekały się nawet częściowej realizacji. Wpoprzek ich projektom stanęła okupacja wojskowa, ujmująca tu oba brzegi rzeki z Górą Zamkową w system fortyfikacji. Okoliczność ta, wszakże, dochowała do naszych czasów wyjątkową możliwość stworzenia monumentalnie pomyślanej dzielnicy bezpośrednio związanej z historycznem miastem, bo skierowanej do wy-

lotu ulicy Zamkowej poprzez przepiękny akcent placu Katedralnego opartego o Górę Zamkową. Most ku nowej dzielnicy, którą mamy podźwignąć z wiekowego zaniedbania, i główna jej ulica winny mieć wymiary sute i monumentalne. Na tym pięknym równym terenie, opasanym Wilją, opartym o wzgórza Kalwarji i o panoramę wzgórz i miasta, od południa rozwinąć możemy wspaniałą kompozycję urbanistyczną. Przerzucenie mostu i wejście na omawiany teren szeroką piękną ulicą będzie niezawodnym impulsem szybkiej zabudowy Snipiskiej dzielnicy. Rola samorządu sprowadzi się do ustalenia ogólnej koncepcji zabudowy i ukształtowania ulic i placów oraz do pilnowania ścisłego podporządkowania się budujących na tym terenie planom zabudowania. Dzielnica narastać będzie samorzutnie, pociągając do twórczej pracy atrakcyjnością swych warunków kapitały prywatne. Gmachy reprezentacyjne znajdą tu dla siebie korzystną i okazałą sytuację. Uprzywilejowanie tej dzielnicy przy rozdziale kredytów budowlanych, przyczyni się niemało do wzmożenia tempa jej zabudowania.

Jeśli przeprowadzenie „Prospektu“ — dzisiejszej ulicy Mickiewicza pod prostym kątem do dotychczasowej głównej arterji miasta dało w rezultacie, w ciągu lat kilkudziesięciu, dzielnicę zabudowaną większą masą budynków, niż obumierające stare śródmieście, to możemy być pewni, że opisana arterja, otwierająca rozleglejszy teren i wychodząca prosto z ul. Zamkowej, spowoduje niechybnie jeszcze okazalszy rezultat budowlany.

Wyjątkowe tempo rozwojowe Wilna w okresie krystalizowania się dzielnicy Łukiskiej i obecny kryzys nie mogą podważyć nadziei pokładanych w odkorkowaniu najbliższej śródmieścia połaci Snipiszek. Ruch budowlany powstaje przedewszystkiem z przyrostu zaludnienia. Wilno w okresie narastania dzielnicy, dla której osią był „Prospekt“, miało większy przyrost procentowy ludności, ale i dziś proces urbanizacji postępuje mimo kryzysu. Jeśli odsetek przyrostu jest dziś mniejszy, to jest on przecie odsetkiem od znacznie zwiększonej liczby mieszkańców i wyraża się większą cyfrą absolutną.

Słyszałem zarzuty, że most w projektowanem miejscu ma niedogodny niski brzeg od strony miasta. Nie jest to dostateczna przyczyna dla rezygnacji z budowy mostu w miejscu, gdzie jego potrzeba wynika z logiki organizmu miasta i potwierdza się ożywionym ruchem przewozowym na łódkach. Bardzo rzadko zdarzają się tak szczęśliwe warunki przyrodzone, że brzegi odrazu są gotowe do budowy mostu i w miastach naszych, położonych w terenie falistym, podobne warunki należą do wyjątkowych. Szerokich zamierzeń wyzyskania dzielnicy Snipiskiej

dla rozbudowy miasta nie może też podważyć ta okoliczność, że znaczną część terenu dzierży tam wojsko w swem posiadaniu. Obce, odgrodzone od społeczeństwa, siły ustąpiły przed nowem, wolnem życiem. W wojsku naszem widzimy nietylko zbrojne ramię narodu, ale i chętnego współtwórcę dóbr kulturalnych. Nie zabraknie tu dobrej i światłej woli dla miasta Józefa Piłsudskiego.

Słyszało się o projekcie budowy wielkiego parku sportowego, obejmującego dzisiejsze boisko na Pióromoncie i opartego szeroko o Wilję. Było by to małem, fragmentarycznem wyzyskaniem możliwości wielkich i wyjątkowych. Poszczególne potrzeby funkcjonalne miasta winne być podporządkowane planowi ogólnemu, ujętemu wszechstronnie. W ramach ogólnej kompozycji znajdzie się piękne i właściwe miejsce na potrzeby sportu; nie można iść drogą anarchji urbanistycznej; naginać kompozycję całej dzielnicy dla jakiegoś jednego celu.

Trzeba zdać sobie sprawę, że niema drugiego tak szczęśliwego miasta, któreby w bezpośredniem sąsiedztwie z jedną z najpiękniejszych terenowo i architektonicznie grupą starego miasta zachowało wielki obszar tak mało zabudowany, że można na nim, prawie bez wyburzeń, przeprowadzić dowolnie wspaniałą kompozycję urbanistyczną. Tereny te cudem ocalały od tandetnej, spekulacyjnej zabudowy w przeciągu ubiegłego wieku. Pozostały one niezapisaną kartą, którą naszym czasom i naszemu pokoleniu wypadnie zapisać. Jak Stare Wilno z ulicą Zamkową — Wielką jest symbolem i miarą artystyczną Wilna przedrozbiorowego, jak ul. Mickiewicza z dzielnicą Łukiską jest legitymacją wieku XIX, tak na biernym dotąd terenie Snipiszek możemy wyczarować, wypisaną bryłami zabudowań, opowieść o naszych czasach, o czasach Wilna odrodzonego.

Możliwości są wyjątkowe i wspaniałe, obyż między temi możliwościami a naszą wolą i kulturą nie ujawniła się rażąca dysproporcja.

STEFAN NARĘBSKI.



Fragment planu zabudowania Wilna z 1817 r. (Śnipiszki).
B. Guesti et J. Poussier. Plan de Wilno de 1817. Détail.
Comp l'étude de S. Narębski du 28. II. 1935.

PANI BYSZEWSKA.

Jan Sowiński wziął Ludwikę Byszewską za „uczoną Polkę“, ponieważ ogłosiła drukiem wykład z francuskiego p. t. „O edukacji fizycznej i moralnej płci żeńskiej“ (Warszawa 1789). Może mieć do niej pretensje także literatura piękna za nieporadne wierszowanie, sobie już tylko i Muzom. Ale pani szambelanowa pisała jeszcze żurnale. Otóż do pism tych zajrzy z ciekawością historyk kultury i obyczaju lat Stanisława Augusta. Ruchliwemu życiu autorki, którą „czas gonił, a bardziej od niej uciekał“, towarzyszą słowa jej własne: „Wszystko mnie potrafiło bawić; rozumiem, żebym się kiedy i do Ameryki wybrała, wszędziebym znalazła objekta zabawić mnie mogące“. Nie do Ameryki, lecz do Wilna wybrała się w roku 1786 pani Byszewska w zawiłych sprawach majątkowych, których niema powodu tutaj przedstawiać. Poczem brat turystki, Joachim Gintowt-Diewałtowski, sekretarz komisji Edukacji, czyli, jak go mianowano „JWielmożny Sekretarz Rozumu ludzkiego“ (miał ponoć czoło wysokie), otrzymał relację pisaną z tej podróży, którą dzisiaj jeszcze radzi odczytamy.

DROGA.

Z Warszawy wypadło ruszyć 21 maja, o godz. 7 zrana. Pierwsze popasy — w Okuniewie, w Makowcu. Szlak na Wilno ułożył się wygodnie przez Brańsk i Narew. Drugi nocleg w Jabłonce; „tak karczma była zła, że ani można w niej było nocować“, spanie na plebanji u ks. Jakóba Krasnodębskiego, który trzema miskami śmietany uczęstował. „Ksiądz bez czapki i pościeli spał w stajni przez grzeczność“. Na Narwi pod Brańskiem „most jeszcze od śniegów wielkich zrujnowany“, cieśle pracują „za daremszczyznę“; niemałe trudności przeprawy „na kilku dylach źle zbitych“. Na noclegu w Narwi „tyle było szczupaków, linów, karasiów do wieczerzy za zł. 2, że za nie w Warszawie trzebaby dać złotych 18“. Autorka notuje skrupulatnie ceny po karczmach, np. w Bielsku za drwa zapłaciła 1 zł., za jaja 8 gr. Poczem już Litwa od karczmy Stanisławskiej. Trzydniowa gościna pańska u Sapiehów w Zelwie i Dereczynie, balety, komedje i głośne koncerty: „grało 40 muzykantów przy kotłach i trąbach“. Kiedyindziej balet Arjanny, „ope-

retka dwóch ludzi kochających się, muzyka bardzo miła do słuchania". „O mil dwie od Dereczyna przebywałam rzekę spławną nazwiskiem Szczara, na której prom wcale inną robotą, jak u nas, na Wiśle: nosy ma zadarte dla bystrości wody". Karczmy autorka ogląda i pamięta, niczem później Kraszewski: w Orli nad Niemnem „tak zła, że opisać nie umiem", w dobrach JW Paca Myto zwanych—„przewóz wygodny, karczma dobra, porządnie z wygodą dla podróżnych stawiona". Tu właśnie owies był tak piękny, że go na próbę kazała schować pół kwarty. Przyjazd do Wilna 31 maja. Uczonej Polce „nieporządek miasta wystawiał przed oczy postać zrujnowanych murów Kartaginy lub innych miast spustoszałych". Promenada po Wilnie trwa przez tydzień, zabiegi majątkowe prowadzą panią Byszewską do biskupich Werek. Wyjazd do Warszawy już 5 czerwca, rzemiennym dyszlem i tą samą, ubitą drogą. Powrót 15 czerwca, na procesję: „Najjaśniejszy Pan sam piechotą asystował tej solennej procesji, w suknią ubrany galową, cały dwór i liczne państwo mieszkające i przybyłe, wszystko to było wspaniale poprzybierane. Jaka to była dla mnie satysfakcja, przebywszy wszystkie lasy litewskie i różne przykrości podróżne, w jednym momencie na tak piękny widok trafić! Śpiewało się Te Deum laudamus i zawsze się śpiewać będzie". Refleksją, jak z „Rodziny Połanieckich", kończy autorka opowiadanie, zapomniawszy, że piła w Wilnie czarną kawę „podług systema Pana Woltera".

WRAŻENIA.

Epoka znała schematy różnych podróży, np. pobożnych, naukowych; klasyk współczesny w wędrówce po kraju poszukiwał nieraz emocyj literackich i tematu. Pani Byszewska zjechała do Wilna z misją rodzinną, by nie zaniedbać interesu. Ale wiozła w karecie prócz pudełka z prowjantami, które jej wręczył na wsiadaniu JW Tremo („wszystko sposobem francuskim ważone"), także „kilka książek". Musiała je „z potrzeby powtarzać". Nie znamy wrażeń tej lektury, bo nad książki preferowała autorka ludzi. Pełno w relacji Byszewskiej spotkań najbardziej przygodnych i rozmaitych, z towarzyszami wszelkiej kondycji i majątku. Krajobrazu, przyrody od Warszawy do Wilna i zpowrotem nie spostrzegła. Jedynie w ogrodzie wileńskim Sapiehy wydał jej się „piękny widok" przed schodami pryncypalnemi, chociaż Wilja, płynąca o 400 kroków, ukryła „swe zwierciadło, że go z pałacu nie widać". Jedynie w Werkach wskazał biskup Massalski „położenie miejsca piękne i prospekt przecudny". Pani Byszewska nie przeczyła biskupowi, zwłaszcza, że w sprawie jej miał sądzić.

Ale nad naturę wolała sztukę. Kazała się więc prowadzić po kościołach wszystkich miast i miasteczek, oglądając ciekawie i z erudycją damy modnej obrazy, rzeźby i zabytki. W Węgrowie mazowieckim malowania kościoła parafjalnego „zdają się być dawne i wcale piękne... szkoły rzymskiej widać (w nich) egzekucją"; dwa ołtarze pędzla JP Czechowicza, autorstwa innych nikt pani Byszewskiej nie objaśnił. Kościół Reformatów w Węgrowie zawiódł oczekiwania:

..."Znalazłam go w takim porządku, jak ledwie niewszystkie reformackie kościoły w Polszcze. JX. Wikary przyszedł dla eksplikacji, której dać żadnej nie umiał, gdyż niedawno mieszka w tym konwencie, bo dopiero półtora roku. Ani trumny fundatora nie widział, ani na marmurze ciętego nie czytał napisu, nawet aniby wiedział na której stronie leży kościoła, żeby nie przecudownej roboty nadgrobek ś. p. zmarłego fundatora i nie miał ciekawości spytania się, od kogo ten klasztor był fundowany... Mówiłam do tego JXa Wikarego tłustoczerwonego: A tęż kopułę we śrzodku który malarz malował? Odpowiedział, że to już dawne malowane; zapewne on już nie żyje. Mówiłam do księdza: Niech Wam Bóg da niebo obydwom. Pytałam, cóż to jest za tajemnica odmalowana, chociaż ją dobrze widziałam i poznałam, ale mi się chciało tego próżniaka doświadczyć gnuśności i znudzić go do szczętu. Odpowiada mi: Ani można dojrzeć, bo wysoko...

„Letkim ukłonem" żegna pani Byszewska „nieświadomego mnicha". Innych wrażeń doznała na mszy w pobliskiej Narwi:

„Uważałam w tym starym drewnianym kościele odmalowaną królowę Bonę, za nią z fraucymeru kilka osób, z tych jedna trzymała baranka, królowa spogląda na biskupa, przed nią uciekającego, z którego ust wychodzą słowa: Sprośność wasza skaziła serca nasze. Napis obrazu: Erasmus Episcopus. Gdyby mnie nie wstyd było ludzi, toby mnie było mocno rozśmieszyło".

Poczem zawędrowała do Dominikanów, w książęcym Dereczynie. Spostrzegała m. in.:

„Ołtarz Chrystusa Pana, mający na dole czyściec, malowany przez Połubińskiego, sędziego słonimskiego, który kogo nie lubił, to jego fizjognomją wsadził w ten czyściec. Poznałam tam wielu skarbników, chorążych, podkomorzych, którzy przed nim wakanse pobrali".

Tak właśnie impresje turystyczne pani Byszewskiej zaspakajały żywe poczucie anegdoty. Ale widzimy w nich jeszcze istotną, choć

dyletancką ciekawość dla spraw i zabytków sztuki. „Gust w architekturze“ miało nasycić niebawem Wilno. Plastycznego widzenia rzeczywistości dowiodła pani Byszewska „w owej karczmie sławnej, zwanej Myto“. Austerjarz przygotował dla niej cielęcinę, ryby, masło i pulardę. Szambelanowa dostrzegła tylko „naturę martwą“: „Pytałam się go, czyli to wszystko, co ułożył na stolnicy, do malowania“? Austerjarz odpowiedział, cokolwiek urażony: „U nas w Litwie to wszystko jedzą, ale nie malują“. Nie okazał się na wysokości zadania.

LUDZIE.

Amatorka sztuk pięknych, miała inną jeszcze słabość: ginęła za rozmową, równie chętnie słuchała, jak mówiła. Pisarzowa sądów radzieckich m. Warszawy „nagadała mi... wiele o różnych osobach, przez co uczyniła satysfakcją mojej ciekawości i potrzebie“. W tej ciekawości dla człowieka było najpierw plotkarstwo wieku, ale było także bezinteresowne poznawanie świata. Pani Byszewska nudziła „nie siebie, ale drugich ustawicznem pytaniem“.

Ludzie w jej pamiętniczkach podróżnych przewijają się stale, niemałem bogactwem charakterów i przygód. Wystąpią np. w masie, jak szlachta podlaska, zgromadzona w Brańsku przed karczmą. Autorce „nigdy nie zbywa na chęci do gadania“, ale rozmowa potoczyła się niezbyt przystojnie, pełna „prostych terminów“. Zażenowana „Kronika Rodzinna“ nie mogła ich w roku 1878 powtórzyć. W galerji portretów najwięcej jest księży, zakonnych i świeckich. Spostrzegamy różne odmiany stanu, od „mnichów niewiadomych“ z dalekiej prowincji do kanoników inflanckich, przebiegających żwawo drabinę hierarchji. Sylwety kobiece powrócą kilkakrotnie, jakkolwiek w mniejszej rozmaitości gatunku. Zasięg obserwacji nie był tu znaczny, pozostała pani Byszewska w świecie powierzchownym. Od Warszawy i dworu sapieżyńskiego nie różniła się wiele nawet ziemia liwska. Autorka poznaje przygodnie pewną damę:

> ...„biorę na siebie postać zadziwienia z jej twarzy, która była zmalowana najczerwieńszym różem, brwi czarną pomadą. Jakże mnie nie miał zadziwić ten popełniony abuzus pod Liwem miasteczkiem, który nie ma żadnej karczmy dobrej, a Imość mi się z taką kokieterją ubrała. Mówię do niej: Moja Pani, na cóż się zda taka subjekcja, mieszkając pod tem spustoszałem miasteczkiem? Bo co w Warszawie, to i ja sama z największą pilnością zdobię moją fizognomję różnemi kolorami, ale pod Liwem to szkoda farby i pomady. I mówię do niej z największą szcze-

rością, bo tak jak byłam przekonana. I mówi do mnie: Uznaję, że mi WPani mówisz prawdę, bo tu szkoda wszystkiego. Ale przecież mamy kościół z łaski Boga najwyższego w tej wsi i dopiero przyszłam z nieszporów solennych, które mieliśmy dosyć liczne. A że tu jest wiele w naszej okolicy drobnej szlachty, a człek się nauczył żyć z dystynkcją... W tym momencie zaraz pytałam się o jej urząd i powiedziała mi, że jest Pisarzowa, dodając, że i my widujemy Warszawę...

Pani Byszewska poradziła z humorem, aby kupić raczej stolicę, „malowaną na papierze przez JP. Kanaletego". I chociaż sama godziła kontrasty, nie zrozumiała tych cudzych kontrastów pod Liwem. Ze szlachciankami, które na jarmark pojechały do Brańska, miała wprawdzie dyskurs „stosowny do czasu i ich wiadomości", ale charakterystyki obyczajowej poskąpiła.

Mniej materjału dostarczyli mężczyźni. Flirt z p. Wilczewskim, podkomorzym wiskim, na postoju w Brańsku powie nie jedno o kulturze towarzyskiej czasu. Historyka zajmie spotkanie z JP. de Stackelberg. Młody i ładny kawaler nie miał nad lat 21. Jechał do Moskwy. Sławił „króla naszego piękność i ludzkość", z żalem porzucał Warszawę, którą widział przez trzy niedziele, a między innemi rozrywkami miasta chwalił sobie balety. Pani Byszewska zapragnęła wydobyć więcej z dyplomaty komplementem dla carowej, że „mimo surowości praw krajowych tak słodko panuje". Młody kawaler, który oglądał właśnie Włochy i Francję, odpowiedział „z największą grzecznością i układnością, że niemasz milszych ustaw i słodszego układu, jak w naszym kraju, lecz tylko dla tych ludzi, którzy są ograniczeni w swojej sferze. Co do mnie, rzekł, niczego innnym krajom nie zazdroszczę prócz jednego klimatu". Pani Byszewska ostrzegła kawalera przed drogami w Polsce.

Poczem zaraz na postoju w Narwi zażyła soplicowskiej swojszczyzny: żyd — lekarz wędrowny z Łańcuta zalecił szambelanowej własną aptekę, której dobywał dla biskupa Wężyka. „Jednej pani... dwa razy na miesiąc bańki stawiał, czego ona potrzebowała, bo bańkę lubiła". Dziś lekarstwa wyschły mu i spleśniały, Wężyk, biskup przemyski, nie żyje od lat 28.

Magnatów i dygnitarzy nakreśliła niedbale. Urażliwy kanclerz Sapieha wydaje się zwykły i pospolity. Biskupa Massalskiego wyróżniła lulka („fajunia"), którą palił ukradkiem: jeszcze nie weszła w modę. Pani Byszewska, chociaż oswojona z tytułami i dworem, czuje się bezpieczniej wśród szaraków. Widzimy w Wilnie jej komitywę dobrą

z żołnierzami na warcie trybunalskiej. Użaliła się wówczas nad losem żołnierskim, gorszym od Tatarów i siczy, oraz przyrzekła zabrać do Warszawy „bułkę chleba“ na pokaz (nawet dała za nią złotówkę, choć kosztowała 8 gr.).

W tych wszystkich spotkaniach podróżnych, jak układały się bez ładu i porządku, zaciekawia samo życie, nie znające kolorów i retuszu, prócz tamtej pomady pod Liwem. Ale raz wtargnęła literatura. Książę Sapieha „letką milką“ zawiózł Byszewską „do wioski jednego szlachcica, pod imieniem Podstolego“, który gospodarował „stosownie do opisu Księcia Biskupa Warmińskiego“. Autorka nie dała się zbudować morałem tej wyprawy.

WILNO UCZONE.

Promenada pieszo dookoła miasta nie udała się.

„Uważałam jego ulice ciasne, gruzem zawalone, kamienice puste, przechodzącym niebezpieczeństwem grożące, pałaców dziedzińce od Witolda niechędożone, podpory u niektórych domów tak niezręcznie zrobione, że przejeżdżającym są na przeszkodzie“.

Ale zapał turystyczny pokona to pierwsze wrażenie. Pani Byszewska wstaje o 3-ej zrana, by wędrować na Antokol. Korzysta też z każdej przerwy w nieustannych zabiegach majątkowych i ogląda miasto. Zapisze któregoś dnia: „Tak znudziłam moich kompanów, mówili, że nigdy tyle nie uszli“. W ciągu tygodnia pobytu zyskała nietylko znajomość topografji Wilna, ale także najmniejszych zabytków. Niezmordowanie wizytuje kościoły: św. Jana („bardzo piękny i wspaniały, najzdatniejszy na sejmowanie), Bernardynów, św. Piotra i Pawła (tutaj uwaga: „cały kościół w sztukaterjach, ale tak gęsto, że oko fatyguje, ale nie zastanawia“), Trynitarzy, Katedrę. Uderzają te opisy dokładnością i sądem, który nieraz potwierdzi przewodnik prof. Kłosa. Ze szczególną pasją, mimo niechęci JP Gubernatora („moja fizognomja nie podobała się“), ogląda Byszewska pałac Sapiehów na Antokolu; tu właśnie okazuje, że nabyła „wiadomości i gustu w architekturze“. Ale pamięta dobrze inne budowle: pałac biskupi, Słuszków, trybunał; uważała bramę zamkową. Werki odwiedza parokrotnie.

Wśród tego turystka żywo myśląca, ale płocha i przykładna dyletantka, nawiązuje niespodziane kontakty z Wilnem uczonem. Rozumiemy, że JW Poczobuta musi razić i gorszyć niejednem. Nieoczekiwanie prędki powrót Byszewskiej z biskupich Werek więcej zmieszał astronoma, „niż wszystkie planety, które on przyzwyczajony widzieć“. Gdy chciała zaprosić biskupa Massalskiego na obiad do siebie, strofo-

wał ją Poczobut, „że przyzwyczaiwszy się do trzpiotów warszawskich fraków, tak pasterza ich traktuję“. Zaczęła się ekskuzować: „Żartuję, Poczobutuniu...“, ale tamten okiem pokazał politowanie, „co się to tam w mojej głowie dzieje“. I tak pozostała między niemi „opieszała miłość“.

Pani Byszewska ciekawa była „obserwatorjum, sal wszystkich klasycznych i onych porządku“. Zaczem udała się cała kompanja „ku murom Akademji“.

> „O 5 godzinie zaczęliśmy tę wizytę, JX Strzecki dał znać JPP. Łopotom i JP. Morawskiej, pisarzównie litewskiej, którzy razem z nami byli przytomni czynionej eksplikacji nauki matematyki i astronomji przez JWJX Poczobuta. Żądałam, aby pokazał płanetę, pod którą się rodziłam, chcąc jej wymówić, za co nie jestem bogata. Pokazował nam teleskopy i lunety, kosztujące do 1000 zł., nastawił naprzeciw Werek, które tak się biskie zdały, jakby przy tejże samej sali: widzieliśmy górę, leżącą o mil dwie, ludzi jadących gościńcem z sianem i z zbożem; kolor koni, odzienia ludzi można było doskonale rozeznać. Spojrzawszy lunetą w niebo, rzekłam do JX. Strzeckiego: Widzę po gwiazdach wszystkie pomyślności dla całej Akademji pod szczęśliwem panowaniem Najjaśniejszego Króla i gorliwem interesowaniem się do ukształcenia młodzi JW. Księcia Prymasa. Wszyscy schwalili, że appropo powiedziałam, śmiałam się, że mi powrócił sławę mój Poczobut. Weszliśmy do sali lekcyj fizycznych, tu JP. Łopotowa z swoją siostrą elektryzowały się z przyczyny bólu zębów; mówiłam, że mam moje defekta, ale innego potrzebuję zaradzenia. Byliśmy w sali JP. Sartorysa, prezentował nam w tych dniach wynaleziony sekret atramentu sympatycznego: był to likwor biały jak woda, napisane nim słowa ktoby chciał czytać, trzeba do ognia papier przyłożyć, za rozgrzaniem stawały się litery jasnozielone i wkrótce, gdy nabrały zimna wilgotnego, nikły. Gdy mi profesor ofiarował papier i pióro do ręki, cóż rozumiesz braciszku, napisałam? oto... „Akademja Wileńska ma godnych profesorów“. Miarkujże WPan, jakie się sypały dla mnie podziękowania“.

Przyszło na zgodę i z Poczobutem. Miał wówczas dwie celki „mnichowskim sposobem umeblowane“. Pani Byszewska powiedziała mu śmiało, że „powiniem porządniej i lepiej mieszkać“, a także przebrać się po francusku... „Chciał mi dać wiele prezentów, najwięcej o św. Bobolego w Pińsku pocieranych, żalił się, że tak godny święty z woli Komisji rusinom się dostanie. Był blady, gdy to mówił, bałam

się, aby trefunkiem jakim bazyljan który nie wszedł, boby go był złajał: rektor szczególny żal cierpi do bazyljanów". Zażyła ta komitywa poszła z polityki: zachował Poczobut „niezagojoną ranę w sercu swojem, że X. Kołłątaj, Rektor Akademji Krakowskiej dotąd listu nie napisał do niego z powinszowaniem orderu, danego od Najjaśniejszego Pana". Pani Byszewska pośpieszyła skwapliwie z „należytem powinszowaniem", okazując postępowanie „proste i niezazdrosne"...

Oglądamy ciekawi przyrodnika Forstera, który nie wytrwał w Polsce nad trzy lata. Nie zachęciły go warunki pracy wileńskiej: „żalił się na rząd Akademji, że go tak w szczupłem mieszkaniu umieścił, bo nietylko szafy jedna za drugą ciasno stoją, ale nawet dla uczących się tak szczupła izba, iż... ma długości łokci 8, szerokości łokci 4. Bardzo mi się podobał JP. Forster, że się krótko i jasno eksplikował, pokazując różne kamienie i kruszce". JPani Forsterowa mieszkała „w ciasnym pokoiku". Wisiał tutaj portret Forstera — ojca, „sławnego z wojażu, odprawionego z JP. Cooc". Wizerunek podróżnika przypomniał Byszewskiej „flamandzkie tableau, wyrażające Holendrów, siedzących nad syrem i szynką z fają, nos i lice w kolorze karmazynowym". Wolała szambelanowa bladą fizognomję syna.

> „Musiał ojciec WPana mieć dobry apetyt? odpowiedział, że był więcej rozrzutny, jak lubiący ekonomją, pieniądze za nic ważył i dlatego nic niema".

Forsterowi jeszcze zawdzięczała Byszewska flaszkę cudownego atramentu z preskrypcją, bodaj czy nie pomieszawszy wynalazców. Przyrodnik nadesłał wówczas „list z wielką erudycją pisany", której wcale nie rozumiała:

> ... „dwa razy mi czytał Deboulir, całe Wilno chwaliło, ja milczałam, miałam za znak, że moja kropelka poznania zginęła w tem morzu. Nikomu nie pozwalam przepisywać, tylko czytać, i to ludziom, dla których jestem z pewnym szacunkiem. Dałam go czytać księciu Sapieże, mówił on, że WPani brat sekretarz da jej dobre o tem zdanie: może mu się dlatego nie udał, że się chciał nadto wysadzić, albo też może mu się i udał".

Epizod wileński Forstera oświetla tu barwnie współczesna anegdota. Z tego świata uczonego wystąpi jeszcze JX. Strzecki, erudyta historyczny, oraz JX. Pilichowski, w przygodnej cierpkiej wzmiance.

Literaturę miejscową poznała Byszewska w osobie p. Deboulir, guwernera Grabowskich. Deboulir czytał jej kiedyś „do pierwszej godziny w noc... tłumaczenie swoje dzieła p. Woltera p. t. Mahomet. Zdało mi się, — dorzuca — że jest mocno tłumaczone". Ale przekład

nie był zbyt mocny, choć ukazał się w dwa lata później drukiem, przypisany biskupowi Massalskiemu (miała być w tej pracy zachęta biskupia). Z artystów, pracujących podówczas w Wilnie, mistrz włoski Righi rzeźbił dla katedry „Mojżesza"; Byszewska widziała w jego pracowni „wiele modelów, dziwnie... egzekwowanych". W sali JP. Szmuglewicza wyróżniła biskupa Szczepanowskiego.

Wśród tych poważnych wizyt i dyskursów wypadło także zabawić się w teatrze.

> „Poszliśmy razem na komedją, to zaczęła się o 8 godzinie, ale, że mało było spektatora, tylko moje bilety, p. Bogusławski kazał innych darmo puszczać... serdecznie się śmiałam z kochanego Panfila"... *)

Innym razem „grana była komedja p. t. Cekina". Tyle pani Byszewska zdołała zobaczyć i usłyszeć w Wilnie przez tydzień. Dla innych powodów zapamiętał urocze miasto bratanek szambelanowej, Stanisław Pius Dziewałtowski, kawaler lat 11, który towarzyszył ciotce w podróży. Miał pozostać na studjach u JP. Forstera, ale tamten wymówił się zręcznie od edukacji. Pan Stanisław ani słowa nie umiał po łacinie.

> „Zaczem prosiłam JX. Hołyńskiego, prefekta konwiktu, aby go zaprowadził do ubogich szlachty i tego nieuka im pokazał. Kazał zwołać wszystkich na dziedziniec i stanęli rzędem, a pan Stanisław za pokutę mający się zostać między nimi, trzy razy ukłon niski im zrobił, wyznając głośno, że już blisko lat trzech jest na edukacji w Warszawie, a nic nie umie. Zaszły potem mocne instancje JX. Rektora i Strzeckiego, aby się powrócił do Warszawy z zaręczeniem, że się poprawi. Jednak musiał widzieć ich pościel i jedzenie".

Otóż zabieg okazał się skuteczny. Pan Stanisław w drodze powrotnej „nabył dosyć uwagi".

AUTORKA.

Pamiętnik Ludwiki Byszewskiej zdradził niejedną cechę charakteru i umysłowości autorki. Mówiła szambelanowa najpierw o sobie, choć miała mówić o wszystkiem. Żurnale przypadły jej do smaku: zamierzyła napisać o zazdrości, chorobie pospolitej Warszawy, ale nie wiemy, czy dotrzymała słowa. Pozostał jeszcze „Rejestr materyj do

---

*) Są to zapewne „Nieszczęśliwe przypadki Panfila" (1783) Bohomolca. Por. L. Simon, Pamiętnik Literacki XXXI (1934).

napisania najrzetelniej, zacząwszy od apryla w r. 1794", doskonale nieczytelny i świadczący o niepokonanych trudnościach ortografji. Swobodna forma pamiętnika sprzyjała naturze tej inteligencji, chłonnej, lecz samorodnej, której nie ukształciła szkoła i lektura. „Śliczną konstrukcją w mowie" przyzna Byszewskiej szlachta podlaska, kreując turystkę na posła z powiatu. Ale nie wymagało to zbytniej nauki. Koncepty przychodziły jej bez pracy: „zła fortuna przyuczyła śmiać się ze wszystkiego, i tak robię: śmiejący się mój los poprawiam". Nie zwiedzie nas przygodna składnia łacińska lub potoczna, towarzyska francuszczyzna: pani Byszewska nie umiała „języków... dobrze", choć tłumaczyła nawet wykład z francuskiego. Popisowa erudycja historyczna (np. anegdoty z życia elektorowej saskiej) nie przekroczyła buduaru. Nic w niej nie było z sawantki.

Niefrasobliwa postawa życiowa wynikła zarówno z natury, jak warunków. Ludwika z Gintowtów Dziewałtowskich Józefowa Byszewska, zwana poufale „Bysią", z męża generałowa wojsk koronnych i szambelanowa dworu, nie miała wiele z tych godności. Żywot jej bujny i ruchliwy upłynął w nieustannej trosce materjalnej. Rychły rozwód z mężem, szereg procesów majątkowych, które poznajemy w zarysach niedokładnych, zabiegi o los braci i rodziny (całowano „dobroczynne ręce" pani Bysi i chwalono jej „dzielną pomoc"), niedostatek ratowany doraźnie i nakrótko—wszystko to usprawiedliwia nieporządny popłoch i niepokój tego życia. Pani Byszewska nie miała nic do stracenia, ważąc się na gry ryzykowne. „Śmiejący się jadę — mówiła w podróży wileńskiej, — bo rozumiem, że ten dobrze robi, kto swoje interesa bawiąc się przyprowadza do zamierzonego układu".

Śmiejący się oglądała także siebie. „Grzeczną osobę" może grać przez pół godziny i tylko wówczas, gdy musi. Zna na wylot własne gadulstwo, ciekawość, usposobienie zmienne i niecierpliwe, płochość nie stałą i swobodną. Wierzy w swój dar towarzyski i mówi, że nie jest „nudna". Sądzi, że udaje się jej „mina najpiękniejszej niewinności", chociaż zjeżdża do ludzi jak „orda tatarska". Grywa i przegrywa w karty, pocałunkami pani pisarzowej nie pozwala zebrać sobie różu z twarzy („był potrzebny... na obiad do księcia biskupa") i potrafi zgorszyć Warszawę stanisławowską przebraniem męskiem na reducie. Jest zachwycona, gdy młody szlachcic w Brańsku przyzna jej „nikczemną fizognomją". Wiek własny osłoni krotofilą nie do odgadnięcia. Portret to żywy, choć pospolity damy XVIII wieku, próżnej i bardzo powierzchownej, o skrupułach osobistych malejących. Pani Byszewska będzie prosiła Sapiehę „o flaszkę na wodę kolońską" („i podobno nie

było, bo mi książę jej nie dał"), a biskupa Massalskiego zirytuje przymówkami o jakieś rzadkie numizmaty.

Wśród zabiegów podobnych wymknie się jednak szambelanowej maksyma moralna, refleksja dziwnie brzmiąca, choć niewątpliwie najszczersza, o zazdrości potępionej, z złej ambicji, o próżnej nadziei. Pani Byszewska godzi także inne sprzeczności: dykteryjki o świętych i wolterjański stosunek do kleru z pilnem uczęszczaniem do kościoła i ciekawością dla teologji. Przyjmie swobodnie dedykację książki: „Sposób przestawania z Bogiem" (1780), a w pamiętniku napisze: „chciałabym, aby mniej było w Polszcze kościołów, a więcej szpitalów, ...często ten fundusz do jednej osoby kościelnej przywiązany, mógłby kilkunastu nędzarzów schorzałych podług ludzkości utrzymać".

Krótki pamiętniczek Byszewskiej, błahy i nieważny, pozwala jednak spojrzeć na epokę, łączącą kontrasty różnorodne: obyczajowe, umysłowe, religijne. Wizerunek autorki, niby w zwierciadle wklęsłem utrwalony przez Jana Śniadeckiego w listach z Grodna, traci cechy groteski i anegdoty, wyrażając przeciętny poziom wieku. Zapomniany dziennik podróży podobał się już współczesnym, nawet królowi. Szambelanowa przypisała powodzenie relacji sympatycznemu atramentowi JP. Forstera.

UWAGA: Podstawą źródłową szkicu są rękopisy i listy Ludwiki Byszewskiej, dochowane w zbiorach Zamoyskich z Podzamcza (obecna własność Bibljoteki Narodowej). Z materjałów tych w sposób dowolny korzystała Kronika Rodzinna, 1878.

TADEUSZ MIKULSKI.

O PRZEKŁADACH D. D. BOCHANA POEZJI POLSKIEJ NA JĘZYK ROSYJSKI.

... Anioł, co z niebios posługą
Między czyśćcowe dusze zstąpić raczy,
W i d z i całe w męczarniach narody,
C z u j e, co cierpią, mają cierpieć wieki,
I p r z e w i d u j e, jaki kres daleki
Zbawienia tylu pokoleń — swobody.
M i c k i e w i c z.

Jeśli prawo Chrystusowe nie ma po wieczne czasy ograniczać się tylko do stosunków indywidualnych; jeśli, przeciwnie, może ono i powinno przenikać do sfery współżycia całych narodów; jeśli w szczególności najwyższy i najtrudniejszy jego nakaz: „miłujcie nieprzyjacioły wasze!“ ma obowiązywać kiedykolwiek chrześcijan także w życiu politycznem i międzynarodowem, — to musimy siebie zapytać: jakie szczeble prowadzą nas do tego ideału?

Sądzę, że lepiej niepodobna rozstrzygnąć tych trudności, niż to czyni Mickiewicz w powyższym urywku. Pierwszym warunkiem obcowania narodów ze sobą musi być wedle poety zbliżenie kulturalne. Trzeba się najpierw wzajemnie poznawać, następnie winno w nas wzrastać współczucie, które inaczej zgrecka nazywamy sympatją; koniecznym zaś jej skutkiem jest czynny stosunek do owego drugiego narodu: przewidywanie jego losów i życzenie dlań dojścia do wolności, którą poeta nazwał gdzieindziej jutrzenką, zwiastującą przyjście słońca — zbawienia.

A tem polem, na którem najskuteczniej odbywa się to zbliżenie kulturalne, jest niewątpliwie sztuka, w szczególności zaś literatura, gdzie genjusz narodowy wypowiada się najpełniej.

Historja wykopała tak głęboką przepaść pomiędzy dwoma największemi narodami słowiańskiemi, iż tylko drogą usilnych i nader umiejętnych starań, podejmowanych równocześnie z obu stron, może się udać kiedyś tę przepaść zasypać. Trzeba tedy z radością i szacunkiem przyjmować wszelkie próby w tym kierunku, na polu literatury w szczególności.

Mam tu mówić o takiej niepoślednie wartości próbie.

Dorofiej (Doroteusz) Bochan okrągło lat czterdzieści temu, w roku 1895, poznaje w oryginale pierwszy utwór polski, *Marję* Malczewskiego, który też zaczyna przekładać. To był wstęp do jego karjery tłumacza poezji polskiej na język rosyjski.

D. Bochan urodził się w Mińsku Białoruskim w r. 1878. Nauki pobierał w Korpusie Kadetów w Połocku, oraz w 1. 1895 — 7 w Szkole Artyleryjskiej w Petersburgu. W 1. 1897—1908 służy w wojsku, które opuszcza w randze kapitana. Zajmując się dorywczo pracą dziennikarską już od r. 1897, poświęca się jej całkowicie w r. 1908. Po *Marji* wpadają mu w ręce poezje Mickiewicza, następnie cały obszar poezji polskiej staje przed nim otworem. Impulsem, który go do tego popchnął, była niewątpliwa dla nas sympatja (Bochan jest ożeniony z Polką) i rozumienie specyficznych warunków naszego bytu. Dziś Bochan (współpracownik pisma *Russkoje Słowo* w Wilnie) zna wcale dobrze literaturę polską i w wyborze tematów nie idzie bynajmniej po linji mniejszego oporu. Przeciwnie, im dalej, tem ku wyższym i coraz bardziej charakterystycznym utworom zwraca się jego oko, jak to zobaczymy niebawem.

Więc jeszcze w r. 1905 wydaje on w Mińsku, ze stemplem cenzury wileńskiej, sporą antologję poezji polskiej, złożonej z przekładów przeszło stu utworów kilkudziesięciu poetów, takich jak: Kochanowski, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Syrokomla, Asnyk, Tetmajer i in. (str. 220). Tłumacz odrazu naogół zwycięsko wywiązuje się z zadania, zdając sobie sprawę z trudności, t. zn. z osobliwości rytmiki w obu językach. Sądzę więc n. p., że słusznie robi Bochan, gdy nader często nasze rymy żeńskie zmienia zgodnie z tonacją rosyjską na męskie, że od czasu do czasu ucieka się do rymów nijakich, że przeplata jedne drugiemi tam nawet, gdzie w wierszu polskim panuje jednostajność. Natomiast oddaje wiernie nietylko samą myśl utworu i obrazowość, ale również charakter utworu i to coś nieuchwytnego, co decyduje o poezji, owe osobliwe akcentowanie pojedyńczych słów i zwrotów, bez których zachowania utwór traci swą indywidualność, swą jedyność.

Oto przykład. Z pieśni Kochanowskiego *Czego chcesz od nas, Panie,* tak w przekładzie Bochana brzmi strofa czwarta, zaczynająca się od słów:

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi —

Moria, czto sozdał Ty, kipiat, wały wzdymajut,
No siły bieriegow im wiek nie priewozmocz',

Lisz' woleju Twojej ruczji nie izsiakajut
I nocz' smieniajet dień, a dień smieniajet nocz'.

Podobnie udatnie tłumaczy Bochan znany wiersz Krasińskiego:

O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie...

O niet, nie gowori, kogda ja żit' nie budu,
Czto żizń tiebie ja otrawił,
Ja czaszu sam s otrawoj pił
Wsiegda i wsiudu.

... No gowori zato, kogda ja żit' nie budu,
Czto dobr Gospod' pribraw mienia,
Czto był kak ty niesczastliw ja
Wsiegda i wsiudu.

No gowori za to, kogda ja żit' nie budu,
Czto ja odnim lisz' sierdcem żił,
Czto ja sgorieł, tiebia lubił
Wsiegda i wsiudu.

A oto jak wygląda w przekładzie Bochana pierwsza zwrotka wiersza Słowackiego *Na sprowadzenie zwłok Napoleona.*

I wydarto go z ziemi popiołem...

Prachom otniat on był ot ziemli,
Otniat był on u wierby płakucziej,
Gdie so sławoj jewo pogriebli,
Gdie nie w purpurie spał on, moguczij,
A prikrytyj sołdatskim płaszczom,
Riadom s drugom zawietnym — mieczom.

Rzeczą arcy-ciekawą jest prześlepienie przez ówczesną cenzurę, wszak tak jeszcze naonczas (przed rewolucją r. 1905—6) ostrą, strofy dalszej:

Z tronów patrzą szatany przestępne,
Car wygląda blady z poza lodów...

I priestupniki s tronow krowawych,
I tiran izza siewiernych ldow,
Na wierszitiela dieł wieliczawych

Smotriat wmiestie s tołpoju orłow,
Czto połny tolko miesti i złoby,
Nie na sołnce gladiatsa — no w groby.

Z rzeczy osobno przez Bochana wydanych należy tu jeszcze wspomnieć przekład sonetów W. Wysockiego p. t. *Las* (druk w *Libawskim Wiestniku* i odbitka 1903). Także w r. 1928 drukuje Bochan w *Naszej Żizni* (Wilno) przekład impresji Brzozowskiego o Dostojewskim (osobna odbitka).

Ale część główna tłumaczeń Bochana spoczywa jeszcze w rękopisie. Są to przekłady, dokonywane coraz wprawniejszem piórem, przyswajają też one językowi rosyjskiemu coraz znakomitsze płody poezji polskiej. Oto n. p. doskonałe tłumaczenie *Pióra* Norwida:

I wlano w ciebie duszę nie anielską, czarną...

Nie angielskaja, niet, dusza twoja czierna,
Chot' szeja wsia twoja pokryta siedinoju,
I ty drożisz w rukie, czto znojem sożżiena,
A żałoby tołpoj idut wsled za toboju,
Il kruglyje nuli postawleny riadkom,
Krugły, kak groszíki, cztob w rubriki ulecz' sa,
Il kak zapas jaic, kotoryja czisłom
W korziny słożeny. Poroj gotow zażiecz' sa
Ogoń twoich słogow, woprosa znakom ty
Poroju łowisz' mysl, kak udoczkoj kriwoju,
Mysl, czto jedwa blesniot łuczom iz tiemnoty.

Iz kryljew angieła ty parus priedo mnoju.
Ty Moisieja żezł s żiwitielnoj strujoju,
No w kraskach radugi nie obraszczajsia ty
Ni w popugaja czuwstw, ni w jarkij blesk mieczty...
Kak sokoł ty w siebia wbiraj porywy buri,
W dień chmuryj nie tiemniej i nie liniaj w łazuri...
Bud' niezawisimo! Pod niebo wzniesieno,
Prikowano nie bud' zastiożkoj zołotoju
Ty k szapkie nikakoj... I nakoniec, piero,
Nie bud' propitano ot bur' i groz wodoju,
No bud' pierom takim, czto ospu w krow' proljot,
K striele prikriepleno — umczit jejo wpieriod!

A oto jak wyszedł w mowie rosyjskiej tak charakterystyczny dla naszego mesjanizmu wiersz Norwida p. t. *Klątwy*:

Żaden król polski nie stał na szafocie...

My nie kaznili naszich korolej,
I nas francuz zowiot buntowszczikami;
My wsie wierny religii swojej,
Nas jerietik zowiot jerietikami.
Czużoj ziemli nasz pług nie borozdił —
Nas obwiniat w zachwatie i razdiele;
Iz nas nikto swoim nie izmienił,
Nas uczat: cziem istorija na diele!
No czas idiot, Christowoj szlachty czas,
Dień sowiesti i znanija dla nas!
Da, on idiot! W sierdcach uż tiech triewoga,
Kto uczit nas *tiepier'* bojatsa Boga!

Szczególnie bliskie oryginałowi, jak się łatwo tego domyślić, są w przekładzie Bochana wiersze izometryczne, t. zn. posiadające stałą miarę toniczną, tak zresztą rzadkie w poezji polskiej, jak n. p. norwidowe *Obyczaje*:

Do uczty gdy z gwarem siadano za stół,
Niestety, mnie miejsca zabrakło jednemu...

Pried pirszestwom szumno sadilis' za stoł,
Mnie miesta za etim stołom nie chwatiło, —
I staryj obyczaj na pomocz' prisziol:
Wsio eto, moł, k łuczszemu było!

Kogdaż skazaw słowo ja podniał bokał,
Wina tam niemnogo, niemnogo ostałos', —
I staryj obyczaj mnie snowa skazał:
Czto k łuczszemu to okazałos'.

Byt' możet, skazał ja, sud'ba takowa,
I w strany dalokija ryskat' pomczałsia;
On umier! skazali — i wnow' okazałsia
Obyczaj, czto „k łuczszemu!" złyja słowa.

Tiepier' wsio rawno mnie — s wrażdoj il s lubowju
Mienia wspominajut; smiech gorie prikrył...

Tiebia pochoroniat — twierdiat czto k zdorowju;
Tiebia pozabudut — cariom budto był!

Tiepier' mnie, jej Bogu, czto chocziesz' bołtaj,
Dobro ili zło, lisz' by w ramkach priliczja;
Twierżu ja wsio wriemia: ziemla eto raj,
Pokuda... takoj jest' obyczaj!

Ale niewątpliwie koroną przekładów Bochana jest całość (oczywiście bez warjantów) *Króla-Ducha*, który jednak w tłumaczeniu winien się nazywać, jak mi się zdaje, nie *Korol-Duch*, jak tego chce Bochan, lecz *Car'-Duch*, bo dla ucha rosyjskiego ów „Korol" brzmi egzotycznie. Przecież Słowackiemu chodziło o oddanie pojęcia najwyższości, przodownictwa, a bynajmniej nie o konkretną formę rządów. Pojęciu tegoż poety w tekście rosyjskim winien odpowiadać wyraz „Car'", tak jak odwrotnie n. p. Andrejewa *Car' gołod* tłumaczymy po polsku *Król głód*. Przecież nieco wyżej sam Bochan wiersz Norwida:

A gdy cię zapomną — to jakbyś był król,

— tłumaczy poprawnie:

Tiebia pozabudut — cariom budto był, —

bo tu „król" jest wogóle symbolem pomyślności, co oczywiście w mowie rosyjskiej odpowiada wyrazowi „car'".

Oktawy Króla-Ducha Bochan modyfikuje w przekładzie, słusznie mojem zdaniem, przeplatając rymy żeńskie męskiemi, oraz dwa ostatnie wiersze oktaw wieńcząc naprzemian rymami męskiemi i żeńskiemi. W związku z tem, rzecz jasna, stały jedenastozgłoskowiec oryginału kojarzy się w przekładzie z dziesięciozgłoskowcem.

Oto pierwsza strofa poematu:

Cierpienia moje i męki serdeczne:

Stradanija i muki raskrywaja
I wiekowiecznyj s diemonami boj,
Orużije, szczity ich wspominaja,
I jamy tie, gdie jad izmieny złoj,
Ja razskażu — rieszienja wypołniaja,
Czto briemieniem powisli nado mnoj,
Cztob ja wospieł byłyja pokolenja,
Swiaszczennych duchow swietłyja srażenja.

A oto początek II pieśni I rapsodu:

Księżyc był pełny i gwiazdy świeczniki...

Swietiła w niebie połnaja łuna,
W głubi łazuri stai zwiozd blistali,
Kuznieczikow trawa była połna,
A stieny zamka tichim snom dyszali;
Traw dikij zapach — eta nocz' biez sna,
Prirody sierdce bjuszczejesia w dali —
Wdwojnie silniej wsio goworiło mnię,
Kogda ona so mnoj — ja na konie.

W tymże rapsodzie tak brzmi strofa o przebiciu nogi Zorjana przez Popiela:

On mi podawał list — a ja na nodze
Jego oparłem miecz żelazny, krzywy...

On dał pismo — a ja głuboko w nogu
Jemu swoj miecz iskriwlennyj wonził;
Ja czuwstwował, kak w kosti poniemnogu
Chot' stariec był niedwiżim — on wchodił,
Chot' prigwożdion, nie wydał on triewogu,
Poł kamiennyj korałł żiwoj smocził...
Wieś w gołubom był niszczij i s toskoju
Smotrieł w głaza mnie stoja priedo mnoju.

Najpiękniejszy i najgłębszy rapsod III bodaj też najudatniej Bochan tłumaczy. Tak np. przemawia Otton do Pychy:

Niech będzie żywot, ale zatrzymany
I pomóc sobie uczynkiem bezsilny...

Pust' budiet żizń, zadierżannaja wsiudu,
Biezsilnaja pomocz' siebie samoj!
Pust' wojsko spit s wożdiami — i powsiudu
Spit wsio: kto wrag, kto priedan wsiej duszoj...
To sotwori, wieli swierszitsa czudu,
I ja twoj rab, ja twoj goniec prostoj,
Kuda wielisz' — niesu twojo wielenje,
Twoim słowam daju osuszczestwlenje.

Weźmy teraz ów arcy-poetyczny fragment o uciekającej królewnie, co „giermkowi pozwoliła twarzy na chwilkę tylko".

Priekrasnaja (czto możet daże byt'
I s korolewnoj) w strachie i wołnienji
Pażu rieszíła szczioczki udielit'

Dla pocełuja, tolko na mgnowienje,
Droża wo snie korałł sojedinit'
On s alebastrom chocziet wieś w smuszczenji...
Mig... i zastył priekrasnyj monumient,
On opozdał lisz' na odin momient.

Kakby Duszi s Lubowju wopłoszczenje
Wtoricznoje jawiłoś w mir opiat',
Nakłonieny w tainstwiennom wleczenji
On k niej — ona gotowa uż bieżat',
No wsio-ż nie tak, cztob ust prikosnowienje
W wieczerniej mgle slegka nie oszczuszczat'...
— I sładostno lubow' oni wdychajut,
Ona bieżit, usta jeszczio żełajut!

Teraz przechodzimy do kulminacyjnego punktu rapsodu, gdy uśpiona przez Pychę Słowiańszczyzna w części owej, gdzie panował Wodan, Król Duch Rosji, zostaje objęta rewolucją *). W przekładzie Bochana oktawy te wychodzą doskonale.

Nagle, gdy zdało się, że już w natchnieniu
W triumfie niebo i ziemię posiadła...

I wdrug, kogda w porywie wdochnowienja
Jej mniłoś: włast' nad mirom uż połna!
— Wsia sodrognułaś w strasznom otrupienji,
Blednieje trupa sdiełałaś ona...
Jeszczio bledniej... zwała w ożestoczenji
K siebie wsiech duchow!.. siła nie dana
Była jej znat' czto Angieł, chot' niezwanyj
Płaniety Angieł jawitsa rumianyj.

Priszioł — kak kapla maleńkich łucziej,
Kak pokrywało, obłako i tucza,
Kak mołnija sred' bleska i ogniej,
Straszna, grozna, użasna i mogucza;
To mstitiel był za zło prirody wsiej.
Ona priszła i ozariłaś krucza,
Priewyszie gor, biezumnieje moriej
Priszła mież skał, zaria sredi ogniej.

---

*) Porównaj w *Tyg. Wileńskim* 1925, Nr. 2 i 4 moje artykuły o tem, jak Słowacki przepowiadał rewolucję w Rosji.

Ja — gowonił ogoń, wo t'mie pyłaja,
Ja — duch twierdił użasnyj, rokowoj,
Ja — gowonił wsio bliże nadletaja,
Ja tolko rab, no rab podniawszij boj!
Tak na goru striemitielno wzletaja
Kak na korabl wzoszioł wo t'mie nocznoj;
Ogoń smieszałsia s lesom i skałami
Sliliś ogni i wzbiłsia dym kłubami.

I w płamieni był słyszien lazg mieczіej,
I wichria woj ottuda razdawałsia,
No wichr' s ogniom umczałsia poskoriej,
Mogilnyj chołm raskrytyj ostawałsia,
Sred' noczi blesk tainstwiennych ogniej,
Prowodnikom wsiem rycariam kazałsia,
    I otwiernuwsziś w płamieni zari
    W dal otoszli — ziemli bogatyri.

W rapsodzie IV tak wypadła owa strofa, gdzie poeta charakteryzuje rezygnację Rusi z wolności na rzecz obcych przybyszów (p. II, 69):

Tacy książęta, przez lud zaproszeni,
Którzy O wielkie już na A zamienił,
I cały Słowa wyrzekł się promieni,
I cały w Sławę ducha przekamienił...

Narod tot sam prizwał k siebie kniaziej,
Czto O na A bolszoje zamienili,
Lisziwsziś Słowa sołniecznych łucziej,
I w Sławie ducha kamniami zastyli;
Kniazja tołpoj k kolcu letiat skoriej,
Swobodu wsiu naroda zachwatili,
I kak otiec biezumnyj otdajot
Docz' zamuż — dał swobodu im narod.

Wreszcie w rapsodzie V dzieje Bolesława Śmiałego dały Bochanowi sporo okazji do popisu wirtuozostwa. Tak oto skarży się król na zmarnowanie przez siebie samego swego rycerstwa (p. III, 3):

Nigdy już więcej takich niepopsutych
Nie dasz mi, Panie!...

Takich uż, Bożie, czistych i prostych
Ty mnie nie dasz'! Swiersził ja złoje dieło,

Ich zaraził: tiepier' w tiełach bolnych
Otrawa ducha strasznaja sozrieła;
Tiepier' uż mało czistych jest' takich,
A sam korol woszioł w czużoje tieło,
I pod jarmom stradanij i zabot
Piesń wdochnowienja diwnuju pojot.

Następnie jednak Bolesław przybywa do Kijowa:

Wjechałem w zamek i wziąwszy za brodę
Starego Kniazia, wstrząsłem go jak gruszę...

Woszioł ja w zamok. Kniazia tam bieru ja
Za borodu; triasia kak gruszej im
Ja goworiu: Tiebia na tron wiedu ja,
Nie borodoj — duszoju bud' moim.
I stariec stał sierjozien i toskuja
On w ratuszu za synom szioł swoim;
Głaza towo dawno jemu skazali,
Czto pałaczi wieś gorod uż tierzali.

Wreszcie w tymże rapsodzie (p. IV, 37) tak brzmi w tłumaczeniu początek sądu królewskiego nad biskupem:

Rzekł. A to słowo gdy mi doniesiono
W noc i przy pełnych winami puharach...

Skazał. Siejczas mnie doniesli o tom.
A nocz' była. Wino liłoś riekoju...
S koronoju ukrasziennym cziełom
Ja sieł na tron. Wsie pjanicy za mnoju;
Wsie s mysliju tu tień razsiecz' mieczom,
U trona stali tiesnoju tołpoju
Kak roj czVertiej... Był straszien etot wid.
Tak k połnoczi był sud użie otkryt.

Sporo dałem tych prób pióra Bochana. Zapewne, drobiazgowa analiza filologiczna wykaże w jego przekładzie pewną ilość błędów, niedokładności. Może się też znajdą (o czem nie mogę sądzić) usterki z punktu widzenia poetyki rosyjskiej. Może. Nie zmieni to jednak faktu, który bije w oczy: tak jak Cazin oddaje literaturze polskiej pierwszorzędne usługi we Francji przez swe tłumaczenia z polskiego i swą propagandę, tak jak w Ameryce analogiczną rolę pełni Noyes, podobnie

ten skromny Rosjanin, nie mając ani w części tyle wpływu i możliwości, co tamci dwaj, jest szczerze oddanym i gorącym szermierzem sprawy literatury polskiej śród Rosjan. Tedy mi się wydaje, że tej dobrowolnej jego propagandzie należałoby podać rękę. Pamiętajmy, że jakkolwiek się ułożą dzieje, ktokolwiek będzie dochodził do głosu w Polsce i Rosji, zawsze kraje nasze będą się ze sobą fizycznie i duchowo stykać; to też, jak mówi Norwid, „trzeba mieć w Rosji swoją partję“. A dalej, rozwijając tę swą tezę, wielki ten pisarz dodaje: „Jeśli Polacy nie mają i nie chcą uprawiać zdolności podniesienia nieprzyjaciół Ojczyzny do godności znośnych sąsiadów — to wszystko na nic się nie zda“.

Norwid, pisząc to, ma na myśli sferę polityki. My, nie mając jej na względzie, sądzimy, że teraz, gdy niewola nie tylko bezpowrotnie minęła, ale przestała już być dręczącą zmorą, czas pomyśleć o kulturalnem zbliżeniu pomiędzy Polską a Rosją. To też Rosjaninowi, który jak Bochan do nas rękę wyciąga i deklaruje się, jako gorący przyjaciel, znawca i propagator naszej literatury, nietylko nie powinniśmy własnej ręki uchylić, ale w imię pokojowej przyszłości naszych obu krajów, szczerze i serdecznie mu tę dłoń uścisnąć. Życzymy też jemu, by przynajmniej arcydzieło Słowackiego w jego przekładzie mogło wyjść drukiem. A czynimy to tem szczerzej, iż jesteśmy pewni, że byłby to też duży sukces kulturalny Polski.

STANISŁAW CYWIŃSKI.

JERZY ZAGÓRSKI,

Fragmenty z poematu o wojnie 1914.

1. WYSPA HELGOLAND.

Zanurzona w morzu do kolan
o ramionach pokrytych stalą
stoję — wyspa samotna — Helgoland
opłókana północną falą.

O, spoczynku złych admirałów,
kapitanów i komandorów,
pod dymami sinego koloru
popielate jak ałun skały,

Ale ktòż z was zrozumie to,
że na wyspie jest drugie morze,
a w tem morzu jak w małem jeziorze
także wyspa i okrętów sto.

Wszystko było zabawką dla
granatowych i czarnych panów,
którzy na tem maleńkiem morzu
studjowali dna
oceanów.

2. CHÓR ŁODZI PODWODNYCH.

Jesteśmy smukłe okręty
nad nami kłębią się grzywy —
te grzywy powstają z burz.

Burzami karmi się morze.
Tam, na wierzchu, huczy zamętem —
Ale u nas jest przestrzeń jak szkliwo,
a to szkliwo krają dziobów noże.

Smukłe łodzie podwodnych wikingów
nie idziemy po bursztyn już,
ani po panowanie na brzegach,
ale ostrą torpedy klingą
nasza moc pod otchłanią przebiega.

Skaczą nad nami foki
i skaczą nad nami fale,
płyniemy pod okrętami
jak rekin pod wielorybem.
Tyle wiesz tylko o nas,
że w nas są busole i sale,
że uśmierca się nas sieciami,
a morze jest bardzo głębokie.

3. CHÓR ARMAT.

Lecz niebo, pod którem gramy, jest jeszcze głębsze i czarne,
jest urodzajną w szrapnele i huragany rolą.
Uderza huragan w zenit nad rzeką Zbruczem czy Arno,
kule bateryj wściekłych niebo dziobami kolą.

Gramy za lasem, za wzgórzem, przybrane w zielone gałęzie,
schrony i domy gryzą nasze pociski mocne.
Szczekamy jak wściekłe kundle, jak wielkie psy na uwięzi,
a gromy jadą nad nami po nieba bruku w karocach.

Albo umiemy także u boku stalowych kadłubów,
płynących po wodzie zimnej, pluć ogniem i złym ołowiem
i nasze ruchome paszcze jak jacyś groźni bogowie
chylą się w niskich pokłonach pod odartym z masztów czubem.

4. KRAJOBRAZ.

Zielone olchy szmery tworzą
i huczy strumień przy hutorze.
Pąsowi ludzie idą w bieli
pod śpiew skowronków i szrapneli.

Droga pod hutor polny wiedzie,
tą drogą mnóstwo wozów jedzie.
I ty pogodzisz swoje oczy
z kołem taboru, co się toczy.

Zielone olchy, szmer ich cichy,
krajobraz wbity w armat szprychy.
Koła ogromnych samochodów
przez pola jaszcze z prochem wiodą.

Drogi prowadzą do hutoru
ten hutor jest nad brzegiem boru,
ten bór graniczy z żytniem polem,
a w życie kule i kąkole.

Kąkole kwitną, błyszczą maki,
padają ludzie, gwiżdżą ptaki
i świt w gałęziach raną strzela
jak twarz zmieciona przyjaciela.

JERZY ZAGÓRSKI.

Teatr Polski w Łotwie.

Powstanie niepodległej Polski radykalnie zmieniło znaczenie Rygi w dziejach kultury polskiej. *) W czasach przedwojennych Ryga posiadała liczną kolonję polską i była wybitnym ośrodkiem życia polskiego. Młodzież polska z Litwy, Inflant, Mińszczyzny, unikając uczelni rosyjskich, chętnie studjowała na politechnice ryskiej. Zamożne i kulturalne miasto ściągało rzesze ziemian na miesiące zimowe i na letnie wywczasy nad morzem.

Po wojnie kolonja ta rozpierzchła się, wyjeżdżając przeważnie do Polski. Właściwie do kraju wyjechała prawie wyłącznie inteligencja, bo w Rydze pozostało 17.000 Polaków, przeważnie ludności ubogiej, rzemieślników, robotników i t. p., z inteligencji zaś pozostały tylko jednostki. Wskutek tego „mniejszość polska“ była słabo zorganizowana, życie kulturalne zupełnie podupadło. Trzeba zaznaczyć, że znaczny procent tej ubogiej ludności, uważając się za Polaków, posługiwał się jednakże językiem rosyjskim i dopiero ich dzieci, uczęszczając do szkół polskich, wprowadzały do domów mowę polską, Więc zadaniem ludzi kulturalnych było głosić słowo polskie wszędzie gdzie tylko można.

Wkrótce po moim przybyciu do Rygi, Konsul R. P. p. Luce-Birk, zwrócił się do mnie z prośbą, abym wyreżyserował „Damy i huzary“. Miał to być „wieczór dochodowy z programem“, na cel dobroczynny. Spektakl ten odbył się w pierwszych dniach marca 1923 r. Kierownictwo fachowe miało ten skutek, że młodzież polska zainteresowała się teatrem i chętnie zaczęła wstępować do kółka amatorskiego przy t-wie „Oświata“. Wtedy zarząd t-wa zwrócił się do mnie z prośbą o pokierowanie kółkiem, na co chętnie się zgodziłem. Na szczęście zespół amatorski składał się przeważnie z młodzieży, więc nietrudno było wykorzenić „rutynę amatorstwa“, wprowadzić system pracy zawodowych scen.

---

*) W roku bieżącym przestał istnieć po ośmiu latach działalności Teatr Polski w Rydze. Likwidacja tej ważnej placówki, podtrzymującej dawne tradycje kultury polskiej w krajach bałtyckich, dała asumpt do opracowania tego szkicu, skreślonego kompetentnem piórem b. dyrektora tej sceny p. W. Czengerego. *Redakcja.*

Tak się narodził Teatr Polski na Łotwie, bo właśnie z amatorów „oświatowców“ wyrósł później zespół tego teatru. Kółko amatorskie przy t-wie „Oświata“ w ciągu trzech przeszło lat obsługiwalo wszystkie obchody i uroczystości narodowe, zabawy towarzyskie kolonji ryskiej.

W 1926 r. Sejm Łotewski po raz pierwszy uchwalił dość znaczne subwencje dla wszystkich istniejących w Rydze teatrów mniejszościowych t. j. rosyjskiego, niemieckiego i żydowskiego. Naszem więc zadaniem było stworzyć teatr polski i to taki teatr, któryby też miał prawo do pewnego zasiłku od rządu łotewskiego. Początek był bardzo ciężki, bo nie mieliśmy żadnych środków. Jednakże, przy pomocy członków PPS. na czele z p. Wiśniewskim, udało się nam otrzymać na przystępnych warunkach na cały sezon (raz na miesiąc—niedzielę) lokal nowowybudowanego łotewskiego teatru robotniczego. Więc od sez. 1926/27 r. rozpoczęliśmy regularne przedstawienia. W sezonie tym wystawiliśmy „Pana Jowialskiego“, „Moralność pani Dulskiej“, „Skąpca“, „Grube ryby“, „Damy i huzary“ i „Majstra i Czeladnika“. Co prawda pewna część społeczeństwa bardzo nam wymawiała, że „ulokowaliśmy się u socjalistów“ i „zasadniczo“ nie uczęszczała do tego lokalu. Ale ponieważ zwykle po spektaklu odbywała się zabawa taneczna, więc kasowo staliśmy stosunkowo nieźle. Niestety te właśnie „tańce“ nadawały naszym spektaklom charakter „amatorszczyzny“. Postanowiłem więc za wszelką cenę pozbyć się „tańców“. Ogólnie mówiono, że bardzo się nam udała „Moralność pani Dulskiej“, więc nosiłem się z projektem powtórzenia tej sztuki na scenie jednego z większych teatrów t. j. w takim lokalu, gdzie już siłą faktów musieliśmy wyrzec się tańców. Ten mój projekt wszyscy uważali za warjacki i wróżyli katastrofę i pełne bankructwo materjalne teatru. Jeden tylko prezes t-wa „Oświaty“ p. Piotr Swyłan popierał mnie i 17 grudnia 1926 r. spektakl odbył się w lokalu rosyjskiego teatru. Nie zważając na znaczne wydatki (przeszło 700 zł.) wyszliśmy z tej imprezy bez deficytu. A więc mieliśmy już pewne podstawy do marzeń o teatrze z prawdziwego zdarzenia i prezes Swyłan zwrócił się do polskich posłów na Sejm Łotewski p. p. Wilpiszewskiego i J. Wierzbickiego z prośbą o uzyskanie rządowej subwencji dla teatru polskiego, sam zaś, jako radny m. Rygi, rozpoczął starania o zasiłek z funduszów magistrackich.

11 kwietnia 1926 r. odegraliśmy na scenie teatru rosyjskiego „Damy i huzary“. Na ten wieczór p.p. J. Wilpiszewski i J. Wierzbicki zaprosili cały szereg posłów na Sejm na czele z Prezydjum. Ten spektakl był jakby egzaminem naszej artystycznej dojrzałości. Sejm Łotewski na rok budżetowy 1927/28 wyznaczył subwencję Teatrowi Polskiemu

w kwocie 12.000 łatów (20.000 zł. p.), a rada miejska m. Rygi 1.500 łatów. Zespół mieliśmy nasz, amatorski. Z Polski artystów sprowadzać nie mogliśmy, ze względu na łotewskie ustawy o ochronie pracy. Więc kadry amatorskie uzupełnili artyści Polacy zaangażowani przez teatr ryski, a mianowicie panie H. Rydzewska i O. Schmidt i p.p. Z. Jaroszewicz, B. Krzemieniecki, W. Łazdan i St. Siezieniewski. Ponieważ o zdobyciu sceny własnej niepodobna było myśleć, zarząd teatru zawarł umowę z „Dramatem Rosyjskim" i z tej właśnie sceny w ciągu 7 lat rozbrzmiewało perjodycznie, zazwyczaj co dwa tygodnie, słowo polskie.

Tak powstał Teatr Polski na Łotwie.

Pierwszy sezon 1297/28 r. Teatr Polski rozpoczął rydlowskiem „Zaczarowanem Kołem" z Zofją Wysocką w roli Młynarki St. Jarskim w roli Wojewody i St. Siezieniewskim w roli Boruty. Kasę mieliśmy świetną, przeszło 1.000 łatów (1.700 zł.), sukces artystyczny duży. Prasa łotewska, niemiecka, rosyjska pisały o spektaklu w superlatywach. Potem w tym sezonie graliśmy „Szczęście Frania", „Miód Kasztelański", „Grube ryby", „Pana Damazego", „Ciotunię", „Dla szczęścia", „Lekkomyślną siostrę", „Obronę Wilna" i „W ogniu".

Pieczołowitą opieką otoczyli Teatr Polski, od pierwszych dni jego istnienia poseł R. P. Jul. Łukaszewicz, konsul Wal. Łopatto, radca poselstwa hr. Michał Łubieński i przedstawiciel „Pata" ś. p. Matuszewski. Szczególnie zasłużyli się teatrowi hr. M. Łubieński, który podczas kilkuletniego pobytu w Rydze zawsze był najszczerszym przyjacielem i doradcą teatru i młodego zespołu oraz ś. p. Matuszewski, pierwszy nasz lektor wymowy języka polskiego.

Na sezon 1928/29 r. Sejm podwyższył subwencję Teatrowi Polskiemu do 15.000 łatów i Magistrat do 2.000 łatów.

Na inaugurację sezonu wystawiliśmy „Zemstę". Dalszy repertuar sezonu: „Ponad śnieg", „Ich czworo", „Dom otwarty", „Ciotka Karola", „Głuszec", „Damy i huzary", „Ludzie rozsądku", „Dożywocie", „Żołnierz królowej Madagaskaru".

Po tym sezonie, z powodów familijnych wystąpiły z zespołu obie czołowe artystki Z. Wysocka i H. Rydzewska. Dla młodego teatru to była wielka strata. Po długich staraniach udało się uzyskać od władz łotewskich zezwolenie na sprowadzenie artystki z Polski. Korzystając z tego zezwolenia dyrekcja teatru zaangażowała młodą artystkę warszawskiego teatru „Ateneum" p. Irenę Wysocką-Szymańską.

Trzeci sezon rozpoczęliśmy „Mazepą", Słowackiego, potem graliśmy „Śluby panieńskie", „Papierowego kochanka" (gościnny występ

dyr. Aleksandra Zelwerowicza), „Wicka i Wacka", „Pannę Maliszewską", „Majstra i czeladnika", „Złotego cielca", „W ogniu", „Pastorałkę" i „Obronę Częstochowy".

Ten sezon trzeba zaliczyć do najwięcej udanych. Prawdziwem świętem artystycznem był gościnny występ dyr. Al. Zelwerowicza. Ogromnem powodzeniem cieszyła się „Obrona Częstochowy" grana kilkakrotnie przy kompletach. Na ten spektakl przychodzili ludzie, którzy nigdy przedtem nie byli w teatrze. Więc gdy podnosiła się kurtyna i widz oglądał na scenie prawie autentyczną Kaplicę Częstochowską z Obrazem Najświętszej Panny, zdarzało się, że starsze kobiety, słysząc pienia religijne płynące ze sceny, klękały i zaczynały głośno się modlić. Trzeba zaznaczyć, że dekoracja kaplicy była świetnie zrobiona przez architekta-malarza, profesora politechniki ryskiej Sergjusza Antonowa.

Po rocznym pobycie w Rydze p. Wysocka-Szymańska powróciła do kraju, a na jej miejsce na sezon 1930/31 r. została zaangażowana Janina Skrobecka, również artystka teatru Ateneum. Na otwarcie daliśmy „Wielkiego człowieka", potem graliśmy „W małym domku", „Ptaka", „Miłość bez grosza", „Śluby panieńskie", „Niewinną grzesznicę", „Niedźwiedzie dzieci", „Obronę Częstochowy", „Majstra i czeladnika", „Wesele na Kurpiach" w reżyserji autora ks. W. Skierkowskiego, „Niespodziankę" z L. Barwińską i H. Barwińskim w rolach głównych i „Ładną historję" (gościnny występ dyr. Z. Nowakowskiego).

Jeśli poprzedni sezon był udany, to ten bez wątpienia był najlepszy. Przyjazd z Polski na występy L. Barwińskiej, H. Barwińskiego, Z. Nowakowskiego, ks. W. Skierkowskiego wysoko podniósł poziom artystyczny teatru. Rosło zainteresowanie teatrem w masach, teatr stale zdobywał nowych widzów. Już wróżyliśmy mu piękną przyszłość, chcieliśmy zwiększyć i wzmocnić zespół, sprowadzić aktorów z Polski. Lecz, niestety, kryzys a głównie nowa polityka rządu łotewskiego zatamowały rozwój teatru.

Właśnie występy dyr. Nowakowskiego przypadły na moment pogorszenia się stosunków polsko-łotewskich, początek prześladowań mniejszości polskiej, a wzmocnienie przyjaźni litewsko-łotewskiej. Więc błahe napozór rzeczy wywołały nawet interwencję łotewskiego MSZ'tu. Z. Nowakowski przyjechał akurat w dzień przyjazdu do Rygi premjera litewskiego Tubielisa. W swoim feljetonie niedzielnym w „IKC", opisując swój przyjazd do Rygi, Nowakowski zażartował, że całe miasto było udekorowane z powodu jego przyjazdu. Ten niewinny żarcik miał bardzo smutne dla nas skutki. Wezwano mnie, jako kierownika teatru,

do ministerstwa i uprzedzono, że jeżeli teatr polski będzie sprowadzał tak nielojalnych ludzi, jak pan Nowakowski, to władze będą zmuszone nie udzielać nam więcej wiz dla występowiczów i wogóle aktorów z kraju. — Wkrótce ta pogróżka była wcielona w życie. — Przed samym rozpoczęciem sezonu 1931/32 r. minister oświaty odmówił Skrobeckiej, mnie i Siezieniewskiemu, jako obcokrajowcom, prawa do pracy. To był grom z jasnego nieba, niemożliwe albowiem było rozpocząć sezon bez czołowych artystów. Dopiero po długich staraniach i głównie na skutek interwencji p. posła R.P. Mścisława Arciszewskiego Rada Ministrów dała nam to zezwolenia i teatr nareszcie mógł przystąpić do normalnej pracy. Na otwarcie graliśmy „Klub Kawalerów“. Repertuar tego sezonu: „Dzień jego powrotu“, „Hajduczek“, „Mąż z grzeczności“, „Powrót do grzechu“, „Zaczarowane Koło“, „Ze słodkiej butelki“, „Kobieta, wino i dancig“, „Miód Kasztelański“, „Obrona Częstochowy“. Na pięciolecie teatru daliśmy „Pana Jowialskiego“, którym rozpoczęliśmy w 1926 r. nasze przedstawienia w robotniczym teatrze. Sztuka była wystawiona w nowej oryginalnej inscenizacji z muzyką i tańcami układu baletmistrza łotewskiej państwowej opery, Polaka Eugenjusza Lenczewskiego i w scenicznej oprawie (dekoracje i kostjumy) wybitnego malarza Jerzego Rykowskiego. Ten spektakl znalazł ogólne uznanie jak w prasie ryskiej tak i w polskiej (w kraju). — Był to łabędzi śpiew naszego teatru. Chmury już zawisały nad nim. Wogóle cały ten sezon pracowaliśmy w ciężkich warunkach. Stosunki polsko-łotewskie bardzo się pogorszyły, na Inflantach zamykano szkoły polskie, prześladowano mniejszość polską. Kryzys finansowy też dawał się we znaki, frekwencja się zmniejszała. — Z dnia 1-go kwietnia 1932 roku rząd łotewski odebrał wszystkim teatrom mniejszościowym subwencję. Teatr nasz pozostał bez środków, natomiast teatr niemiecki otrzymał zapomogę od rządu Rzeszy w kwocie 200,000 złotych. — Musieliśmy przejść na działówkę. J. Skrobecka wyjechała do Polski, do zespołu powróciła Zofja Wysocka-Fincerowa. Sezon 6-ty i ostatni rozpoczęliśmy: „Sędziami“ i „Warszawianką“, potem graliśmy: „Fircyka w zalotach“, „Powrót posła“, „Polaków w Ameryce“.—Na początku sezonu na wynajęcie sali (rosyjskiego dramatu) łożył z własnych funduszów p. poseł R. P. Mir. Arciszewski. Po wyjeździe posła Arciszewskiego do Bukaresztu zostaliśmy bez tej zapomogi. — Cały zespół pracował ideowo, zarabiając dosłownie grosze (od 20 do 50 zł. miesięcznie) aby tylko utrzymać zdobytą placówkę polską. Sytuację pogorszyło to, że teatr zaczął włazić w długi. — Uratowało nas „Golgota“, na której wystawienie jeszcze w poprzednim sezonie otrzymałem 1.000 łatów od Konsula R. P.

Witolda Kolankowskiego, wielkiego przyjaciela naszego teatru, który też niestety jeszcze w maju 1932 r. został przeniesiony do Medjolanu. „Golgota“ dała kilka dobrych kas, co pozwoliło nam spłacić długi i zakończyć sezon bez deficytu. Co prawda aktorzy nie mieli gaż i jak wspomniałem wyżej, pracowali prawie nic nie zarabiając. — „Golgota“ była bardzo dobrze przyjęta przez publiczność i prasę. Na misterjum był Biskup i całe seminarjum, co wywołało oburzenie prasy litewskiej i pewnego odłamu łotewskiej. Brukowe gazety wyszły z nagłówkami: „Łotewski Biskup prowadzi wychowanków seminarjum do *polskiego* teatru“. Na tem zakończyła się moja działalność na Łotwie. Po moim wyjeździe stanowisko kierownika artystycznego zajął Stanisław Siezieniewski.

Jednocześnie ze mną ustąpił ze swego stanowiska długoletni prezes „Oświaty“ i przewodniczący zarządu teatru p. Piotr Swyłan, który bardzo dużo, oddanie i ofiarnie pracował dla dobra teatru i wielce mu się zasłużył.

W sezonie 1933/34 roku wystawiono „Marjusza“ i „Judasza“. To były ostatnie przedstawienia starego zespołu.

W kwietniu 1934 r. Poselstwo R.P. sprowadziło z Polski na stanowisko kierownika młodego aktora Bączyńskiego i, łożąc po raz pierwszy pieniądze na Teatr Polski w Łotwie, reorganizowało go. Wychodząc z założenia, że teatr powinien być tylko kulturalną rozrywką i zabawą dla młodzieży przekształcono go na teatr amatorski. „Staruszkowie“, którzy 10 lat pracowali w tym teatrze, musieli ustąpić, do teatru przyszła młodzież.

Tak się skończył stary teatr, rozpoczął się okres nowy.

Teatr Polski pierwszy ze wszystkich mniejszościowych teatrów zaznajomił swoją publiczność z utworami wybitnych autorów łotewskich. Graliśmy Blaumanisa „W ogniu“ i „Ze słodkiej butelki“, Akuratersa „Niedźwiedzie dzieci“, Petersona „Ludzie rozsądku“. Inne mniejszościowe teatry dopiero po paru latach poszły w nasze ślady.

Teatr Polski w Łotwie, mając siedzibę w Rydze, stale dojeżdżał do wszystkich miast i miasteczek, nawet wiosek, gdzie zamieszkiwała ludność polska. Teatr dość często jeździł do Dyneburga, Lipawy, Lucyna, Mitawy, Rzeżycy, Krasławia i Iłłukszty. — Zazwyczaj najintensywniej teatr objeżdżał prowincję przed wyborami do Sejmu. W lecie 1929 r. teatr grał prawie w 25 wioskach, witany wszędzie jaknajserdeczniej przez ludność polską. W 1932 r. zarząd teatru projektował zwiększyć ilość wyjazdów, natomiast władze łotewskie tak utrudniały te występy, najczęściej nie dając lokali lub wprost zezwolenia, że musie-

liśmy ograniczyć się do 10 przedstawień i to wyłącznie w wioskach, gdzie można było grać w szkołach polskich.

Teatr Polski na Łotwie rozwijał się bardzo pomyślnie—dowodem tego jest statystyka. Przeciętna ilość widzów na każdym spektaklu wynosiła: w sezonie 27/28 r.—252, w sez. 28/29—378, w sez. 29/30—467, w sez. 30/31—580, w sez. 31/32—537 i w sez. 32/33—424. — Trzeba pamiętać, że Ryga jest miastem wybitnie teatralnem, posiadającem kilka doskonałych scen. — Więc te martwe cyfry mówią dużo. Jeśli dodam, że graliśmy przeważnie sztuki polskich autorów, a na przedstawienia „klasyków“ sprzedawaliśmy zwykle ogromną ilość „uczniowskich“ biletów po najniższych cenach, a dla biedniejszej młodzieży i ochronek dawaliśmy bezpłatne miejsca — łatwo ocenić jak doniosłe i wychowawcze znaczenie miała ta, dziś już nie istniejąca, placówka polska.

WŁADYSŁAW CZENGERY.

Życie literackie wśród Litwinów wileńskich.

Starsze pokolenie pisarzy Litwinów (wileńskich), które cierpiało kiedyś na „kłopoty pióra“ zamilkło, gdyż niema już ono nic do powiedzenia. Natomiast młodsza generacja pisarzy, bardziej świadoma swego powołania i do tego mocno zrośnięta z krejam, z którego ród swój wywodzi, pracując usilnie, bogaci literaturą litewską (wileńską) coprawda więcej może ilościowo niż jakościowo.

Pośród literatów litewskich wysuwa się na pierwsze miejsce *Rafał Mackewičus*, autor kilku opowiadań, jak np. „Pilkieji Didvyrai“ (Szarzy bohaterowie), „Liepto galas“ (Koniec schodów) i świeżo wydanych dwu powieści „Čia mūsu žemė“ (Tu nasza ziemia) i „Likimas“ (Los); pozatem jest on autorem dramatu p. t. „Sulaukė“ (Doczekali się) r. wyd. 1926.

R. Mackieviciusa należy zaliczyć do pisarzy realistów o zabarwieniu patrjotyczno-narodowem. W swoich utworach z talentem potrafi uwypuklać aktualne sprawy narodowe. Poza pracą literacką uprawia publicystykę; napisał i wydał dużo broszur poruszających zagadnienia narodowe i oświatowe. Publicystyka zabija w nim talent powieściopisarski.

Józef Konopka jest niezmiernie pracowitym i płodnym (aż do przesady!) pisarzem scenicznym i nowelistą, jednocześnie ruchliwym działaczem teatralnym i niezłym autorem. Pomimo młodego wieku J. Konopka wydał osiem utworów scenicznych i kilkanaście nowel. Najbardziej znanym jego dramatem jest „Judasz Iskarjota“ który Starostwo święciańskie zabroniło wystawiać za słowa zawarte w tym dramacie: „Niech będzie przeklęty przez wieki ten, który za pieniądze sprzedał nieprzyjaciołom swój język ojczysty, zwyczaje ojców, prawdziwych braci i ukochaną ojczyznę“.

J. Konopka jest pisarzem o tendencjach wybitnie katolickich. Przygotował do druku dramat „Vytauto sūnūs“ (Synowie Witolda“).

Hieronim Cicėnas — etnograf, publicysta i literat, należy do grupy pisarzy postępowych. Usiłuje stworzyć własny styl i język, który bogaci słownictwem z gwary święciańskiej. Przygotował do druku zbiór nowel p. t. „Tarp czerinos buriasi viesulas“ (Wśród jezior zbiera się wichura) i studjum „Liaudies Kūryba ir rašytojai“ (Twórczość ludowa i pisarze).

Pośród niewiast piszących na szczególne wyróżnienie zasługuje *Anna Mičiute* — poetka i nowelistka, która rokuje na przyszłość duże nadzieje. Twórczość młodej poetki cechuje jakaś cicha zaduma, rzewny liryzm i tęsknota w nieznane.

A. Vałajtis głośny tłumacz na litewskie w tak krótkim okresie „Pana Tadeusza“, „Legendy wieków“ Wiktora Hugo i „Fausta“ (!) — obecnie przetłumaczył Syrokomli „Margisa“, który wkrótce ukaże się w druku.

Parę lat temu powstało w Wilnie, dzięki inicjatywie ks. Viskonta, Tow. pisarzy litewskich, ale organizacja ta ze względu na osobę inicjatora i zarazem prezesa, wśród społeczeństwa litewskiego nie znalazła uznania, nawet niektórzy literaci litewscy ustosunkowali się do niej obojętnie. Tow. urządziło swego czasu kilka wieczorów literacko-muzycznych i wydało zbiór utworów p. t. „Menes ir Literatura“ (Sztuka i Literatura). Już od pewnego czasu Towarzystwo to nie daje o sobie żadnego znaku życia.

WŁODZIMIERZ SAKOWICZ.

K S I Ą Ż K I.

Leon Wasilewski. *Józef Piłsudski jakim Go znałem. Warszawa 1935. „Rój".*

Dla nas książka Wasilewskiego ma wartość przedewszystkiem dlatego, że podaje szereg nowych świadectw, malujących stosunki Wielkiego Wilnianina do Jego „ściślejszej ojczyzny". Do znanych już skądinąd i często cytowanych wypowiedzi Marszałka na ten temat, przybywają dzięki Wasilewskiemu, nowe nie mniej piękne i wzruszające, niż np. słynna mowa na cześć „miłego miasta". W liście do I. Paderewskiego, pisanym wkrótce po zajęciu Wilna, Marszałek Piłsudski takie świadectwo wystawia patrjotyzmowi miejscowej ludności:

„Tak ciepłego i tak wzruszającego przyjęcia, jakiego doznałem sam i całe wojsko, nie oczekiwałem. Przeszło to wszystko, co można było sobie wyobrazić. Podaję kilka charakterystycznych faktów, które świadczą o tem: chłopi pod Wilnem odstępowali kawalerji, jadącej w awangardzie nasienny owies. W jednej chwili po zajęciu dworca Wileńskiego przez kawalerję stanęło kilkuset ochotników pod broń dla walki z bolszewikami. Gdym na drugi dzień Świąt przyjechał do Wilna, przez parę dni widziałem całe miasto płaczące ustawicznie zewzruszenia i radości. Pomimo okropnego wygłodzenia miasta ludność wpychała żołnierzom wszystko, co miała do jedzenia. Wszystkie te fakty ku wielkiej mojej radości zawiązały pomiędzy wojskiem a ludnością serdeczny i długotrwały związek..."

W innem miejscu swej cennej książki opisuje L. Wasilewski scenę, która rozegrała się na zebraniu z J. Piłsudskim, po ustąpieniu rządu J. Moraczewskiego. Było to w lutym 1919 r.

„W toczącej się przy skromnym stole biesiadnym rozmowie Komendant mówił o sytuacji. Kiedy podniósł, że dla ratowania Lwowa musiał — z braku sił — dopuścić do zajęcia przez bolszewików ukochanego Wilna, łzy mu stanęły w oczach.

— Ale Wilno odbierzemy, — powiedziałem.

— Tak, ale co się ono przez ten czas nacierpi, — odparł Komendant"...

Przytoczone wypisy nie wyczerpują, zawartych w omawianej książce, przyczynków do przyszłej monografji „Piłsudski a Wilno", która prędzej czy później będzie napisana. Leon Wasilewski dostarczył do niej wiele nieoszacowanago materjału.

TŁ.

N O T Y

Na marginesie artykułu St. Kołaczkowskiego, p. t. Organizacja kultury w Polsce.

Artykuł Kołaczkowskiego ma jedną wielką zaletę: jest odważny. Odwaga na piśmie w dzisiejszych ciężkich czasach zdarza się o tyle rzadko, że wobec niej można darować autorowi pewną chaotyczność w konstrukcji artykułu i pewne odchylenie od tematu, sformułowanego w tytule.

Pani Hanna Pohoska ma słuszność, gdy pisze (Pion Nr. 45), że po tytule takim oczekiwalibyśmy „scharakteryzowania organizacji... kultury, a ponieważ ...mowa o nieporozumieniach, więc scharakteryzowania negatywnego".

Takiego scharakteryzowania w artykule Kołaczkowskiego niema. Ale zato są tam, poraz pierwszy bodaj głośno wypowiedziane, niepokoje i zwątpienia, które nurtują społeczeństwo już od dłuższego czasu. Nurtują — pocichu, istnieje bowiem w społeczeństwie wyraźny lęk przed poruszaniem tematów drażliwych, lęk i niechęć, której źródłem są nawet nietyle specjalnie polityczne względy, ile raczej przeświadczenie wielu, że dla nich jasne sformułowanie owych niepokojów byłoby ciężkiem załamaniem węwnętrznem.

Kołaczkowski odważnie stwierdza brak właściwego programu ideowego w obozie rządzącym. Więcej. Zaprzecza istnieniu ideologji Marszałka w tem znaczeniu, w jakiem używa się dzisiaj tej formuły, która ma być syntezą i skrótem państwowego programu ideowego w Polsce. I sam dodaje zaraz, że „napozór brzmi to jak straszliwy cynizm". Istotnie, napozór tylko. To bowiem, co przywykliśmy nazywać ideologją Marszałka jest właściwie postawą życiową, jaką On sam zajmował wobec wszelkich zjawisk, związanych z rozbudową i umocarstwowieniem odrodzonego państwa i jaką potrafił wpoić grupie ludzi, których miał blizko siebie. Była to postawa niezwykłej miary: wspaniałego bohaterstwa, kryształowej szlachetności i ofiarności bezgranicznej. Utrzymać przez całe życie tak wysoki ton mógł tylko On jeden. Jego ludzie, jakkolwiek wyszli z Jego szkoły i są z Jego Duchem związani, jakkolwiek z tytułu najbliższego pokrewieństwa są wykonawcami testamentu Marszałka — Nim samym jednak nie są. Dlatego nie mogą już żądać od społeczeństwa bezwzględnego zaufania, dlatego przed społeczeństwem legitymować się muszą ze swoich planów i zamierzeń, dlatego obowiązani są przyjąć kontrolę społeczeństwa nie formalną tylko, ale prawdziwą, wynikającą ze swobodnej inicjatywy i swobodnie wyrażonej myśli społecznej.

Proste zapewnienie: „jesteśmy i pozostaniemy zawsze wierni ideologji Marszałka Piłsudskiego", już nie wystarczy. Społeczeństwo żąda sprecyzowania: co właściwie jest dzisiaj ideą zmarłego Wodza Narodu?

Przez większą część Jego życia była nią Niepodległość. Dzisiaj, zrealizowana, idea ta odchodzi w dziedzinę legendy o bohaterskiej stuletniej walce, a niepod-

ległość staje się coraz bardziej atrybutem dnia powszedniego. Teraz zachodzi pytanie: co dalej? Czy naprawdę niema obawy, że przyjęta powszechnie w obozie marszałkowym formuła: „wierność ideologji Marszałka" nie skostnieje z biegiem czasu, nie zamieni się w niezrozumiały dla ogółu znak algebraiczny? Albo czy coraz inni ludzie nie będą pod nią podkładać coraz innego znaczenia?

Przyjętem jest w obozie marszałkowym identyfikowanie wszelkiej intensywnej pracy nad rozbudową odrodzonego państwa ze służbą idei Marszałka. Zachodzi tu nieporozumienie. Praca około rozbudowy państwa nie jest żadną służbą ideową. W pojęciu: „służby ideowej" zawiera się bowiem myśl o przekroczeniu granic obowiązku, o przejściu w dziedziny graniczące z bohaterstwem. Tymczasem praca państwowotwórcza jest najprostszym, najelementarniejszym obowiązkiem każdego obywatela, a niewykonywanie jej byłoby przestępstwem.

To ustawiczne podciąganie prostego obowiązku obywatelskiego do godności służby ideowej mści się bardzo wyraźnie na wychowaniu obywatelskiem młodzieży. Czynniki miarodajne, składające się z ludzi, którym entuzjazm do wskrzeszonego państwa wrósł raz na zawsze w dusze, starają się utrzymać wśród młodzieży ten sam ton entuzjastyczny, to samo gorące napięcie uczuciowe jakie wciąż jeszcze mają w sobie.

A przecież jeżeli więzień, który całą młodość spędził w ciemnym lochu, może entuzjazmować się faktem, że słońce świeci, dla człowieka urodzonego na wolności niema w tem nic osobliwego. Przeciwnie: może on niekiedy narzekać na upał. Pokolenie powojenne traktuje istnienie niezależnego państwa jako zjawisko normalne i zrozumiałe samo przez się. Jest dla tego państwa o wiele surowsze i wymagające, nie wybacza łatwo usterek i uchybień, ale też codziennych obowiązków państwowych nie traktuje, jak specjalnego ze swojej strony bohaterstwa, od czego nie bywają wolne nawet najbardziej ideowe jednostki ze starszego pokolenia.

Nieporozumienie wyżej scharakteryzowane prowadzi właśnie do werbalizmu, ktorego nadmiar tak słusznie wychowaniu państwowemu zarzuca Kołaczkowski. Ciągłe próby niepotrzebnego już podnoszenia tonu działają wręcz odwrotnie. Nieustanne rozpamiętywanie walk i ofiar z okresu niewoli, coroczne przeżywanie nanowo dnia wyzwolenia na niezliczonych, coraz bardziej szablonowych obchodach sprawia, że wielkie wspomnienia powszednieją coraz bardziej, a niekiedy stają się wręcz przysłowiową „piłą drewnianą", co zakrawa już na świętokradztwo. Właściwa szkoła obywatelska jest w czem innem. Jej pierwszem zadaniem byłoby wpoić w młodzież proste poczucie obowiązku wobec państwa i przyszłej zań współodpowiedzialności Ale współodpowiedzialność z „bacznościową" postawą społeczeństwa żadną miarą pogodzić się nie da.

Starsze pokolenie niepodległościowe, wychowane w gorącej atmosferze ideowej stale zarzuca młodszemu bezideowość i szuka wyjścia z tej bezideowej sytuacji. Stajemy tu wobec zagadnienia: czy rozważania, przemyślania, wogóle wszelkie wysiłki cokolwiek na to poradzą? Czy nie jest tak, że idea nowej, odrodzonej Polski wyniknąć musi samorzutnie z ducha narodu? i że wyniknie niewątpliwie, gdy przyjdzie na nią czas, ale tego pożądanego momentu żadnem układaniem ideowych programów przyśpieszyć się nie da?

Pozostaje tedy praca nad takiem ukształtowaniem polskiej rzeczywistości, któreby umożliwiło scalenie, scementowanie od węwnątrz bardzo jeszcze rozchwianego w sobie społeczeństwa polskiego. I tutaj niezbędne jest jaknajszersze współdziałanie inicjatywy społecznej z czynnikami rządzącemi. Tylko bowiem ta inicja-

tywa zapewnić może normalny rozwój zahamowanej przez stokilkadziesiąt lat niewoli kulturze polskiej. A tylko z tego rozwoju wykwitnąć może idea Polski Odrodzonej, może niekoniecznie nowa? Może ta, która na sztandarach z 1831 roku wypisana była hasłem: Za naszą i waszą wolność. Idea Polski wolnej i wolność niosącej, Polski — oazy prawdziwej wolności wśród starych absolutyzmów odrodzonych też na nowo pod maską państw totalnych.

WANDA DOBACZEWSKA.

Dwustronny atak.

Kwartalnik „Środy Literackie" rozgniewał Wojciecha Bąka brakiem jednolitego ideowego programu. O jaki program chodzi? Społeczny? artystyczny? polityczny? Manja jednolitości, jaka ogarnęła dzisiaj cały świat, przejawiała się i w tym, wysoce charakterystycznym zarzucie, tym ciekawszym, że pojawił się on w „Pionie". Bo kto jak kto, ale „Pion" doprawdy jednolitością nie grzeszy, co mu, zresztą, nie ujmuje innych bardzo poważnych walorów.

Czasopismo notujące i rozważające wszelkie przejawy życia kulturalnego w pewnem, określonem środowisku jest zdaniem Wojciecha Bąka zupełnie zbędne. A jednak bardzo ważne dzisiaj jednolite programy, bardzo wyraźne dzisiaj ideowe oblicza — jutro zresztą się niewątpliwie, odsuną się w przeszłość i, straciwszy na aktualności, staną się niczem więcej, jak tylko dokumentem historycznym. Tylko rzetelny dorobek kulturalny, bez względu na jego związek z tym, czy innym programem, przetrwa próbę czasu. Ale na to by przetrwał — musi być zarejestrowany Dlatego ambicje sui generis statystyczne pisma kulturalno-artystycznego nie są wcale czemś pogardy godnem. A rozpiętość poziomu — to rzecz zwykła na świecie i niema chyba pisma, któreby, obok rzeczy interesujących, nie dało czasem słabszego utworu. Grunt — by ta słabość nie przekroczyła pewnych granic. Chociaż i to rzecz względna. Mój Boże, czy można gwarantować, że ktoś kiedyś nie uzna twórczości samego Wojciecha Bąka za rzeczy zdecydowanie słabe?

Drugi atak przyszedł od strony „Poprostu", pisma, które ostatniemi czasy pojawiło się w Wilnie. Pismo to rzuca pod adresem „Śród Literackich" kilka mętnych, pompatycznych, a w gruncie rzeczy beztreściwych frazesów o „rzeczywistym wspólnym języku z masowem środowiskiem", „otwieraniu okna na Europę" o ekskluzywności garstki pięknoduchów i t. p. Ulubione, oklepane, nic nie mówiące zwroty. Co to znaczy: wspólny język z masowem środowiskiem? Co znaczy zarzut kultu zaścianka i w czem właściwie ten kult przejawia się na łamach naszego kwartalnika? Poraby wiedzieć, że regjonalizm jako kierunek ideowy nie jest specjalnym wynalazkiem literatów wileńskich, ale jest silnym prądem ogólnoeuropejskim, reakcją przeciw nadmiernej centralizacji kulturalnej, gospodarczej, nawet administracyjnej i że zwalczany jest właśnie przez państwo totalne, szczególniej we Włoszech. „Nawiązanie rzeczywistego i wszechstronnego kontaktu z literaturą białoruską i litewską" byłoby przejawem czysto regjonalistycznym, toteż, konsekwentnie, jest stałem dążeniem redakcji „Śród". Dowody — w każdym numerze, kto ma choć trochę dobrej woli — znajdzie je niechybnie.

Jeżeli o zebrania „Środowe" chodzi — to nikt nie zagradza na nie drogi młodym artystom, nauczycielom, czy działaczom społecznym. Wręcz odwrotnie. Drzwi są dla wszystkich szeroko otwarte. Straszliwy haracz wejściowy „uniemożliwiający bywanie na Środach — zebraniach jedynie garstce miejscowej plutokracji" jest rzeczywiście poważną przeszkodą. Wynosi aż całego złotego, a 75 groszy dla

młodzieży uniwersyteckiej. Oczywista dałby się znieść, gdyby publiczność środowa zgodziła się siedzeć w ciemności i w nieopalonej sali, nie mówiąc już o wyrzeczeniu się tradycyjnej „herbatki". Wszakże i redakcja „Poprostu" nie rozdaje darmo swego pisma, tylko ściąga nielitościwie aż po 25 groszy za numer, co spewnością przeszkadza umasowieniu odbioru.

Wreszcie żądanie „umasowienia" Śród jest już poprostu absurdem. Kto chce urządzać wiece, znajdzie łatwo odpowiedni czas, miejsce i odpowiednią publiczność. Środy Literackie zawsze miały i mieć będą inne zadania. Możliwe, że redakcja „Poprostu" zadanie te uważa za całkowicie zbyteczne, wątpić jednak należy, by ta surowa opinja miała jakiekolwiek praktyczne znaczenie.

Nowa definicja regjonalizmu. Znaleźliśmy ją w miesięczniku „Lewy Tor" Nr. 12 w artykule p. Adolfa Dickera o polskiej literaturze chłopskiej. Zdaniem p. Dickera „dotychczasowa literatura włościańska, aczkolwiek tworzona przy znacznym udziale pisarzy, wywodzących się ze środowiska chłopskiego... opisywała nędzę bytowania chłopskiego przez pryzmat sentymentu, zniekształcając świadomie czy nieświadomie — obraz rzeczywisty, tem samem niewiele odbiegając od pisarzy kułackich o nastawieniu patrjotycznem (Jan Wikłos (?) *) Władysław Orkan) ujmujących tematykę chłopską pod kątem regjonalizmu *co miało służyć rozbijaniu jedności i interesów biedoty chłopskiej całego kraju, w myśl zasady „divide et impera")*... **)

To bardzo interesujące spostrzeżenie! Regjonalizm jako odmiana imperjalistycznej metody rządzenia... A imperjaliści-nacjonaliści napadają znowu na regjonalizm za to, że podsyca „szkodliwy separatyzm dzielnicowy"... Krańce się stykają.

Redakcji „Lewego Toru" pragnęlibyśmy przypomnieć, co powiedział o regjonaliźmie pewien pisarz, który nędzę bytowania chłopskiego przedstawił z siłą dotąd nieprześcignioną w utworze zatytułowanym „Słowo o bandosie". Był to Stefan Żeromski, który w pewnym wywiadzie z ostatniego roku życia powiedział:

— Ja, osobiście, widzę zapowiedź lepszego jutra w regjonaliźmie, t. j. w dążeniu do zdecentralizowania życia gospodarczego, kulturalnego i społecznego w Polsce i w pracy pozytywnej zrzeszeń inteligencji"... (Stefan Żeromski: Elegie i inne pisma. Str. 392).

Wolimy wierzyć Żeromskiemu niż p. Dickerowi.

O jedno słówko.

W niektórych pismach o zabarwieniu radykalnem ukazała się odezwa p. t. *O jednolity front pisarzy*, wzywająca „wszystkich niezależnych pisarzy i autorów" do obrony postępu, pokoju i kultury przed faszyzmem, który „atakuje wszelką niezależną działalność kulturalną, niezależną twórczość literacką i artystyczną. Prześladuje niezależnych pisarzy, skazując ich na niedostatek i milczenie. Zapomocą ucisku i korupcji deprawuje i wypacza charaktery, by poddać literaturę swym celom"... Odezwę podpisało m. in. kilku pisarzy wileńskich, a sądzimy, że podpisaliby ją wszyscy lub prawie wszyscy, gdyby w odnośnym ustępie obok słowa „faszyzm" dodano jeszcze jedno słówko: i *bolszewizm*, poczem dopiero: „które atakują wszelką niezależną działalność" i tak dalej do końca.

Możnaby też przytoczyć na dowód słynny casus z polskim numerem „Litieraturnoj gaziety", wydanym w lipcu b. r.

---

*) Chyba Wiktor? **) Podkreślenie nasze.

Pewność i zaufanie.

(Z powodu projektu „Ajencji Literackiej")

Utalentowany i czujny publicysta p. Henryk Dembiński dowiedział się, że w Zarządzie Głównym Związku Zawodowego Literatów Polskich debatowano nad sprawą zorganizowania „ajencji literackiej", która miałaby na celu pośredniczenie między pisarzem a prasą, zwłaszcza prowincjonalną i emigracyjną w umieszczaniu beletrystyki, artykułów etc. Podobną organizację posiadają dziennikarze (P.A.P) muzycy (Ormuz) i są bodaj z istnienia ich zadowoleni.

Niestety — irritabile genus poetarum — każdą próbę zorganizowania zawodowych interesów pisarzy wita pomrukiem niechęci. Tak było swego czasu z projektem Izby Literackiej, lansowanym przez Irzykowskiego. Nie podobała się ona arystarchom z „Wiadomości Literackich" i utrącili ją. Dostali wzamian ...Polską Akademję Literatury. Obecnie, gdy rozeszła się pogłoska o projekcie „ajencji literackiej" inne skrzydło literatury podnosi larum, węsząc zamach na swobodę i niezależność twórczości.

Tego zamachu obawia się właśnie p. Dembiński, który w n-rze 10 dwutygodnika „Poprostu" atakuje F. Goetla jako projektodawcę, a w ferworze polemicznym bierze w obronę nawet „młodych pisarzy mieszczańskich" i redaktorów „bardziej niezależnych pism burżuazyjnych", którym, podobno, z chwilą powstania ajencji grozi utrata ogłoszeń P. K. O.

Wreszcie p. Dembiński zwraca się wprost do mnie z następującą interpelacją „Podobno delegat wileńskiego związku zawodowego literatów p. Łopalewski głosował za goetlowskim projektem. Chcielibyśmy usłyszeć wyjaśnienie, czem p. Łopalewski motywuje swoje stanowisko".

Zgłaszam się na to majestatyczne wezwanie nie dlatego, że p. Dembiński „chcieliby", lecz gwoli sprostowania szeregu nieścisłości, jakie zawiera cytowany artykuł w „Poprostu". Wynikły one stąd, że autor artykułu opiera swe wnioski na informacjach dość mglistych, tymczasem ja mam pod ręką sformułowany już na piśmie projekt statutu ajencji i komentarze do niego w postaci memorjałów, złożonych Ministerstwu W. R. i O. P. oraz Ministerstwu Spraw Zagranicznych.

Cała historja z ogłoszeniami P. K. O., którą p. Dembiński wałkuje, wynikła właśnie z nieporozumienia. Fundusze swe ajencja czerpać ma przedewszystkiem z procentów od zainkasowanych honorarjów, a następnie z ewentualnych subwencji wymienionych wyżej ministerstw. Kombinacja z ogłoszeniami P. K. O. przytoczona była przez projektodawcę jako przykład możliwości realizowania honorarjów w pismach, które nie lubią płacić za materjał literacki. W ujęciu p. Dembińskiego ajencja wygląda na ekspozyturę P. K. O. Za pomocą tej ekspozytury faszyści będą ujarzmiać i przekupywać młodych a niezależnych pisarzy proletarjackich.

Plan, zaiste, szatański, ale, mojem zdaniem, djabła warci tacy ideowi antyfaszyści, którzy się dadzą przekupić, skorrumpować i zdeprawować za pomocą owej ajencji. Nie sztuka być świętym, gdy się nie przeżywało pokus.

Co do P. K. O. to ajencja projektowana tyle ma z nią wspólnego ile piernik z wiatrakiem. Chociaż nie: dewiza P. K. O. „pewność i zaufanie" powinna przyświecać i organizatorom i klijentom ajencji. I jedni i drudzy pozostaną członkami Związku Zawodowego Literatów.

Plan organizacyjny tej instytucji przewiduje, że Zarząd Główny, do którego należą i sympatyczni p. Dembińskiemu opozycjoniści: Jampolski, Kozikowski

i Kruczkowski, powoła komisję redakcyjną, która będzie kwalifikowału utwory do kolportowania w prasie. Skład komisji co pewien czas będzie się odnawiał A więc nie p. Goetel i jego sekretarz (jak to pisze p. Dembiński) będą decydowali czy dany utwór może pójść w kurs, lecz grono ludzi pod kontrolą Zarządu Głównego. A kontrola jest łatwa, gdyż chodzi o rzeczy ogłaszane drukiem. Trudno przecież wymagać, aby ajencja zajmowała się umieszczaniem każdego utworu grafomańskiego. Kwalifikacja jest konieczna ze względu na poziom, którego gwarancją, by tak rzec, będzie firma Związku Zawodowego.

Ale p. Dembiński ma już gotową odpowiedź: „pod pozorem kwalifikowania poziomu, będziecie utrącali utwory pisarzy dla siebie niewygodnych. Ajencja stworzy monopol dla utworów pisarzy zaprzedanych sanacji i faszyzmowi, a zakorkuje drogę opozycjonistom".

Na to jest jedna tylko odpowiedź: toż ci „niezależni" zawsze będą mieli otwartą drogę do pism bliskich swemu sercu, a żadna ajencja nie zmusi takiego pisma do drukowania utworów „sanacyjnych" czy „faszystowskich".

— Nie zmusi? — słyszę ironiczny okrzyk p. Dembińskiego — ale zato pozbawi oporne pismo lukratywnych ogłoszeń P. K. O. i innych instytucyj państwowych .

W ten sposób ajencja literacka stanie się właściwie biurem ogłoszeń rządowych, i wtedy Zarząd Główny na wniosek p.p. Jampolskiego i Kruczkowskiego zlikwiduje ją, jako nieodpowiadającą celom Związku, określonym w statucie.

I zapanuje spokój. Literaci „niezależni" zamiast zarobić trochę grosza za swe utwory, podrepczą do Funduszu Kultury i Ministerstwa W. R. i O. P. po subwencje i stypendja „na zamierzone prace". Biurokracja polska, dając stypendja, nie dyktowała dotychczas stypendystom jakiej treści i w jakim duchu mają tworzyć — nie miała odwagi. Po ajencji natomiast stworzonej przez Związek Zawodowy wszystkiego możnaby się spodziewać.

Jeszcze raz wracam do interpelacji p. Dembińskiego, który mnie pyta czem ja motywuję swoje stanowisko, pozytywne stanowisko wobec projektu ajencji? (Dla ścisłości nadmieniam, że podczas głosowania zastrzegłem się przeciwko nazwie „Ajencja literacka", wolałbym nazwę „Sekcja Wydawnicza Związku Zawodowego").

Otóż przypadkowo, już po tem posiedzeniu Zarządu Głównego, na którym projekt ajencji wypłynął, trafił mi do ręki artykuł p. Feliksa Jordana, wydrukowany w numerze 11 „Tęczy", tak, właśnie w „Tęczy". P. Jordan zadał sobie trud zbadania odcinka powieściowego w dziennikach polskich, postawiwszy sobie pytanie: czem zaspakajany jest w Polsce głód czytelniczy szerokich mas? Odpowiedź wypadła przerażająca. Szerokie masy czytelników prasy prowincjonalnej karmią się przeważnie horrendalnemi brechtami, wypocinami grafomańskiemi ostatniego gatunku. Dlaczego? dlatego, że redaktorowie tych pism nie posiadają ani odpowiedniej kultury literackiej, ani też funduszów na opłacenie wartościowej literatury.

W konkluzji p. Jordan pisze:

„Gdyby chociaż tylko pięćdziesiąt spośród kilkuset zarejestrowanych polskich dzienników udało się zorganizować do jakiejś wspólnej rozumnej akcji osiągnęłoby się niewątpliwie rezultaty b. poważne. Dobra powieść jest za droga dla jednego dziennika. Dlaczego pięć dzienników wychodzących w różnych miastach polskich nie mogłoby się na nią zdobyć? Niedorzeczna ambicja posiadania własnej powieści jest w tych warunkach zupełnie nie na miejscu. 500 zł. honorarjum, na które stać przeciętne wydawnictwo (za stoodcinkową powieść) jest zamało dla chociaż trochę

cenіącego swój czas pisarza—zachęcić może tylko grafomanów albo rozpróżniaczonych snobów-tłumaczów. Ale 2500 zł. na które złożyłoby się pięć wydawnictw, to suma która umożliwi pisarzowi spokojną pracę przez pół roku — okres w którym przeciętnie powstać może dobra powieść. W pięćdziesięciu dziennikach drukowałoby się wówczas 10 dobrych powieści, zamiast 49 kiepskich lub zgoła plugawych. Powieść wychodzi w odcinku około 3 miesięcy. Mielibyśmy więc możność umieszczać na rynku 40 powieści rocznie, po 4 w każdym z dziesięciu ad hoc utworzonych grup dzienników".

P. Jordan proponuje, aby dostarczaniem tych powieści zajęła się Akademja Literatury w drodze konkursów. Wydaje mi się, że bardziej sprężyście może zająć się organizacją rynku beletrystycznego właśnie taka instytucja jak ajencja literacka.

A prasa emigracyjna, we Francji a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych? Co tam się drukuje? Jest tam bodaj jeszcze gorzej niż w dziennikach, które badał p. Jordan. Rok temu w „Pionie" rzucił na to trochę światła p. M. Rusinek, podając jaką literaturą karmią się polscy konsumenci książek poza granicami kraju. Tam właśnie pracują prywatne agencje, złożone z oszustów i złodziei, jak ich nazywa p. Rusinek, żerujących na 600,000 masie emigrantów w polskich we Francji. W katalogach reklamowych, wciskanych robotnikowi polskiemu na obczyźnie, figurują głównie takie utwory jak:

„Stawiski, największy oszust świata. Romantyczna historja żydka z Ukrainy...

W tajnej służbie i Pan Wojskowy — dwa niesłychanie interesujące opowiadania szpiegowskie...

Samotny jeździec

Rozbojnik chiński

Przeraźliwe echo trąby ostatecznej" i t. d.

Na te zachwaszczone i zaśmiecone obszary drukowanego słowa polskiego Zarząd Główny Związku Literatów Polskich zamierza wprowadzić za pośrednictwem swej ajencji literaturę we właściwem tego słowa znaczeniu.

Oto dlaczego głosowałem za wnioskiem p. F. Goetla.

TADEUSZ ŁOPALEWSKI

Regulator Dembiński.

W numerze 10-ym z 20 grudnia 1935 roku tygodnika „literacko“-społecznego „Poprostu“ ukazał się artykuł Henryka Dembińskiego p. t. „Ferdynand Goetel-Stinnes Polskich Literatów“. Dembiński prezentuje się nam tym razem jako przeciwnik agencji Związku Zawodowego Literatów Polskich, która być może powstanie z inicjatywy prezesa Zwięzku — Goetla.

Na zarzuty tematyczne, jakie musiał postawić (bo przecież atakuje) Dembiński, obok odpowiedział „wileński komiwojażer Goetla“ (jakby go nazwali pisarze z „Poprostu“)—Tadeusz Łopalewski. Mojem zadaniem nie jest rozstrzygnięcie sprawy, czy mają słuszność projektodawcy agencji, czy są „agentami faszyzmu“. Chcę natomiast rozpatrzyć samo zjawisko Dembińskiego na tle jego walki z przejawami zawodowej organizacji literatów.

O co? z kim? i jak? „walczy“ Dembiński.

Artykuł jest pełen opisowego wdzięku jeśli chodzi o jego część monograficzną, zwłaszcza dotyczącą samego Stinnesa. W artykule musi się kryć jakiś sens, jakiś cel polemiczny, jakaś myśl przewodnia. Postarałem się ją wyłowić i w streszczeniu wygląda tak:

Wzywa się lewicowych pisarzy, aby, idąc za przewodem ludzi „o takich nazwiskach jak Jampolski... i Elżbieta Szemplińska“ wykazali swoją sprawność w utrącaniu „konkretnego faktu faszyzacji kultury“ jakim jest projekt Goetla. Oczywiście odbywa się to w imię praw do głosu pisarzy lewicowych, którzy „skazani są już oddawna na niełaskę burżuazyjnych redaktorów i wydawców, a teraz mają być ostatecznie złamani „przy pomocy różnych agencyj“, a wraz z nimi i cała „niezależność współczesnej twórczości literackiej“.

Zabrawszy związkom zawodowym prawo do tworzenia przedsiębiorstw i agend pośrednictwa pracy, cóż chce im wzamian poruczyć Dembiński? A no nie byle drobiazg. Dembiński jest bardzo hojny, chce związkom przekazać... rozdział stypendjów. Dembiński nie jest więc wrogiem związków zawodowych, tylko jego artykuł jest pełen olśniewających sprzeczności.

Powierzając rozdawnictwo stypendjów związkom, chce je komuś odebrać: mianowicie Funduszowi Kultury Narodowcj za karę że jest „biurokratyczny“ i Akademji za to że jest „osławiona, sanacyjna“.

Dembiński nie pomyślał o tem że:

1⁰ Związki musiałyby powołać maszynę biurokratyczną własną.

2⁰ Pomysł właśnieby komplikował „drogą urzędową“.

3⁰ Nikt nie broni, by oddziały związków w poszczególnych, kulturalnych miastach, starały się o stypendja lokalne. Tak jest ze stypendjami artystycznemi, tak jest ze stypendjami naukowemi. Nawet osoby prywatne mogą je udzielać i tworzyć.

4⁰ Lepiej nie przekazywać sum, które nie istnieją. Polska Akademja Literatury stypendjów nie udziela.

A teraz o tej „osławionej“ i „sanacyjnej“. Był taki jeden rok, gdy Akademja znalazła fundusze na to by rozdać 10 stypendjów rocznych i cóż się ztało? Więk-

szość rozdała młodzieńcom o lewicowem piętnie. Podobnie z nagrodą Akademji. Dostał ją pisarz za dzieło, którego doskonałość można zakwestjonować, ale które w kraju, dla redakcji „Poprostu“ poniekąd autorytatywnym, jest uważane za najbliższe ich ortodoksyjnej linji z pośrod dzieł ukazujących się ostatnio w Polsce.

Anty-faszysta Dembiński powie, że to są epizody, że nie raz, ale za każdym razem nagrodę Akademja powinna dać ulubieńcowi socjalistów i nie większość, ale wszystkie stypenja muszą być dane lewicowcom.

Istotnie, „przemyślawszy rzecz do końca“ bojownik socjalizmu tak chyba by musiał powiedzieć. Ale jeśli jednocześnie bojownik socjalizmu ogłasza się orędownikiem kultury, to „przemyślawszy rzecz do końca“ możeby w sobie odkrył jakieś wątpliwości na temat, kto w takim razie niesie barbarzyństwo?

Dembiński podpisał w obronie kultury deklarację. Pisze w tonie apodyktycznym o sprawach mało przestudjowanych przez siebie. Jest frywolnie niekonsekwentny.

Nie jestem powołany występować w obronie Łopalewskiago, prezesa oddziału wileńskiego Zw. Zaw. Liter. Polskich, od którego Dembiński zażądał wyjaśnień i to siebie ujmując w osobie pierwszej liczby mnogiej.

Nie chcę również bronić tych moich kolegów po piórze, którym przydarzyło się podpisać pewną deklarację, a którym obecnie Dembiński dość skwapliwie wyznacza odcinki „realnej walki“. Może nie wszyscy z nich rozumieją całą głębię niepowołania tego publicysty.

W starożytnej Grecji istniał cech wieszczków oficjalnych. W naszych czasach spadek po nich dzierżą dość liczni publicyści polityczni. I ci i tamci to niejako urzędnicy i fachowcy od wszystkich spraw. A wszystkie sprawy nie mają dla nich tajemnic. Po ostatnim artykuliku Dembiński, poszukiwacz recepty na ogólny system wszystkiego, wydał mi się podobny do jednego z wieszczków greckich, właśnie Eutyfrona.

> *Sokrates do Eutyfrona*: To coś niby robota mojego przodka Dajdala, to co mówisz Eutyfronie. Gdybym to ja był te rzeczy mówił i zakładał, pewniebyś ze mnie kpił, że to przez pokrewieństwo z nim tak mi robota myśli ucieka i nie chce stać gdzie ją kto postawi. Tymczasem to są twoje założenia... a ty jesteś o wiele większy majster niż Dajdal.

JERZY ZAGÓRSKI.

W O L N E   W N I O S K I.

Na wileńskiej wsi.

(*Wyjątek z listu*).

...Najprawdziwsze z prawdziwych okoliczności zahukanego, ciemnego i bezradnego gospodarza Ziemi Wileńskiej, nachodzonego przez różnych maści pasorzytów, polujących na naiwności wiejskiej zbiedniałej do ostatnich granic ludności. Nachodzą wieś różni przeróżni „agenci" od kos, sierpów no i „Dolarówek", „agenci" ci powiększają liczebnie legję żebraków chmarnie chodzących od wioski do wioski a starannie omijających miasteczka gdzie są posterunki policyjne. Do tego hańbiącego „legjonu" można tyle dodać „zbawicieli i dobroczyńców" z różnych związków leśników, robotników rolnych, pracowników folwarcznych, nosicieli czy roznosicieli sacharyny, kamyczków i tanich pachnących kosmetyczków! Żebracy milej widziani przez ludność jak „zbawiciele od związków" bo ci ostatni okradają ludność na większą skalę t. zn. są w miejscowej gwarze „droższejsze" bo biorą po 20 złotych przeważnie u tych którzy mają sprawy w sądach, bo takiemu „wybrańcowi" który zaszedł w konflikt z prawem, obiecują adwokata bezpłatnie, napisanie apelacji, kasacji i Bóg wie czego. A z przekupniami sacharyny bywa „taniej", bo kończy się na kilkogroszowej stracie w postaci nabytej sacharyny, która okazała się zwykłym cukrem o bujnym krysztale...

To tylko tysiączna strona pierwszej strony medalu, medalu brzemiennego w smutne konsekwencje, który dźwiga na piersi, w której bije serce tak samo tik—tik—tik, zahukany chłop. Jedzie wiejski człowieczyna do miasta, za potrzebą osobistą, lub na wezwanie władzy, ileż dopiero w jego sercu biednem strachu i lęku przed niepewnością, przed niespodzianką ma się rozumieć nieprzyjemną, bo tam witany jest przez męty miastowe, a ci wyrzutki społeczeństwa, nie przebierając w środkach „sprzedają" dla „chama" ruble, sukno, skórę, zegarki i pierścionki, przytem kradną zagapionemu kmiotkowi torbę zawierającą żywność zabraną z domu przy wyjeździe do „Bieguna".

Przepisy porządkowe znów „szykanują" kmiotka, bo ani iść, ani jechać, ani stać nie potrafi, mandaty, protokóły, kary. Dań naturze oddać, kmiotek niewie bo i niema gdzie, to często zdarzają się wypadki, że człowieczyna załatwia tą nieodzowną czynność, prymitywnie i tanio — do spodni... a po powrocie do domu z „Bieguna" kalesony rzuca wprost do koryta na pożarcie „lwów". Przedniówek, jak na złość, skończył się, wszystko, i zboże i kartofli, słowem wszystko! Trzeba siać niema czym, trzeba orać koń nie ciągnie, bo głodny, krowa rycze i mleka nie daje — głodna, trzeba zbierać sąsiadów podnosić na nogi bo o własnych siłach nie wstanie, a tu podatki napędzają, często i te które już raz się płaciło, to chłop zbiera do worka od lat 20 — 30 papierka-pokwitowania i niesie do „znachora", których wobec frekwencji w tej dziedzinie odczuwa się dotkliwy brak. Kościół—zda-

niem chłopa, też nie idzie mu na rękę bo ksiądz zamiast z ambony pouczyć chłopa wlać otuchę w jego serce, w słowach prostych i zrozumiałych, gromi w ordynarny często sposób, lub przeplata zdania słowami „Misterjum“ „Aucharystja“ etc. etc. etc. to też chłop po takiem kazaniu komentuje, przekręcając owe mistyczne słowa kto wie jak i do czego... Ów nauczyciel rozmawiający z gospodarzem*) w tak przyjaznym tonie, daje przykład dla inteligencji mieszkającej na wsi, ażeby postępowali tak z bezradną ludnością wsi niosąc tam kaganiec oświaty, zarzewie światła i potęgi państwa, ażeby nie pysznili się tem że nie znają przedniówka i umieją mówić z wypaczaniem mowy przez obce słowa i ubierać się w białe kołnierzyki a buty często dziurawe smarować „Guttalinem“. Bo czyjem że jest obowiązkiem i w czyjem interesie leży oświata i dobrobyt wsi.

Z roku na rok biedniejący chłop demoralizuje się, nienawistnem okiem patrzy na wszystko co wskazuje na zamożne i zdaniem jego, beztroskie spożywanie bułki z masłem. Gotów wystąpić czynnie i w zawierusze schwycić bułkę i pożrać. Trzeba inteligencji uświadamiać chłopa, jak ma radzić swej niewiedzy, jak ma opędzać się agentów od kos i dolarówek, a zarazem i od różnych emisarjuszy i demagogów. Jak najwięcej takich, dajcie wsi ludzi z ludu, a oblicze jej się zmieni nie do poznania, nic tak wsi nie jest potrzebne, jak porada, bezinteresowna, przyjacielska, nawet napisanie podania, chłop wówczas nauczy się jak orać, siać i opędzać się złodziei różnych kalibrów i profesyj. Mówić z gospodarzem przyjacielsko tysiąckroć lepiej pomoże jak plakaty anti samogonkowe, w plakaty nie wierzy gospodarz i nic w nich nie rozumie, a chyba że po gminach, pocztach, posterunkach i t. d. samogonu nie wyrabiają i nie piją, to więc one — te plakaty zbyteczne, a samogon zalewa wieś, coraz więcej i groźniej, bijatyki i pjaństwa, rodzą kradzieże i zbrodnie a smutno przyznać się, że władza bezsilna walczyć z tą chorobą, bo choroba nie zwalcza się karą ani strachem, chyba w Indjach a tu Polska!, chorobę zwalcza się sposobem racjonalnego postępowania rozsądku.

Pisząc powyższe myślę, ach żebyż to było dużo dużo takich przyjacielskich nauczycieli na wsi, którzyby uświadamiali a nawet choć wieczorem pisali podania, bezinteresownie dla gospodarzy.

Mam nadzieję, że Polskie Radjo przyczyni się do tego w wielkiej mierze nadając audycje, krytykujące, pouczające, nawołujące. Niezmordowanie musimy dać wsi poznanie braterstwa, miłości, piękna i zamiłowania do umiejętnej pracy. Inaczej wszystkie gospodarze wyjdą na dziady — zubożeją, bo rok rocznie, pomimo kryzysu wieś biednieje, z powodu, że ziemia rozdrabnia się t. j. posiadaczy przybywa a ziemia nie rośnie, to po sznurach — szachownicach niemożna zwykłą broną przejechać — za wązkie. Trzeba leczyć wieś, nim choroba przejdzie w stan chroniczny. Więc do Pracy! ku ziszczeniu pragnień wielkiego człowieka ś. p. Marszałka J. Piłsudskiego—potęga i wielkość narodu przez Go umiłowanego, musi być przez sam naród zbudowaną.

SYMFORJAN MOROZ.

---

*) Mowa tu o jednej pogadance radjowej dla wsi. Pogadanka ta pobudziła korespondenta naszego, mieszkańca pewnej wsi z pow. Postawskiego do wyrażenia swych trosk. List ten drukujemy in extenso, opuszczając jedynie krótki wstęp. *Red.*